TYDZIEŃ

polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą **1** sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

REDAKTOR
JÓZ. IGN. KRASZEWSKI.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału: przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi rocznie **talar. cztery.**

Rok I. Drezno, dnia 19. Czerwca 1870. № 25.

OD REDAKCIJ.

Drugie półrocze „Tygodnia“ stanowi całość odrębną. Ogłaszamy na nie przedpłatę wynoszącą dwa talary w Związku Niemiec północnych; prosząc o wczesne zgłaszania się wprost do Redakcij w Dreznie, gdyż po 1. Lipca z trudnością byśmy mogli zadość uczynić żądaniom. Karty pocztowe (Post-Anweisung) z wymienieniem dokładném adresu są dostateczne.

Drezno, 12—19. Czerwca 1870.

Prześladowanie Kościoła katolickiego w Rosij, trwające ciągle, nowe co raz wywołuje ofiary; potwierdza się wiadomość o aresztowaniu ks. Borowskiego biskupa łucko-żytomirskiego, o wywiezieniu kilku kapłanów z Litwy, gdzie policja zarządziła podpisywanie się mieszkańców, żądających niby dobrowolnie wprowadzenia języka moskiewskiego. — Łatwo się domyśleć co znaczy dobra wola pod despotyzmem Moskwy. — Apostata Żyliński, otoczony żandarmami, nęka nieszczęśliwe Wilno, i rozbudza prześladowaniem ducha religijnego a razem narodowego.

W Petersburgu tymczasem zatwierdzono wybudowanie kościoła katedralnego katolickiego kosztem rządu, mając tu przenieść metropolją mohilewską. Spodziewają się zapewne odprawiać w niej nabożeństwo po moskiewsku.

W dalszym ciągu rozporządzeń, w celu odebrania wszelkiej samoistności Kościołowi katolickiemu, ogłoszone być mają nowe prawa, wzbraniające duchowieństwu karania na drodze dyscyplinarnej więzieniem w domach demyrytów i po klasztorach, wszelkie zaś zapisy, legata i fundusze kościelne z wyjątkiem przeznaczonych wyłącznie na budowy i restauracje, mają być na skarb zabrane.

Nieustannie mnożąca się liczba męczenników i cynizm, z jakim Rosja nęka wyznawców katolicyzmu, wywołały na Soborze powszechnym gwałtowne wystąpienie jednego z węgierskich biskupów. Był to pierwszy głos za Polską rozlegający się w Watykanie. Wiemy z pewnością, iż zamierza także interpelacją w tym przedmiocie czcigodny a jaśniejący równie jenjuszem jak sercem ks. biskup dijakowarski Strossmayer.

Cóż nam te głosy współczucia pomogą wobec narodu i rządu, którzy się wstydu i ludzkich uczuć zaparli?

Wieść, jakoby pomiędzy nowo mającemi się nominować kardynałami, Ojciec Święty umieścił wygnańców naszych ks. arcyb. Felińskiego i bisk. Krasińskiego zdaje się dotąd nieuzasadnioną.

Jakby na szyderstwo łamiąc wszelkie prawa, Rosja dla Europy zamierza niby reformę kodeksu prawa karnego. Ustanowić mają przy drugim oddziale kancel. J. C. Mości komitet w tym celu.

Pod pozorem rozruchów, które tamują handel Rosij z Chinami, zajmują prowincją nadgraniczną chińską i Mongolja przechodzi pod panowanie Moskwy, jak kraj nad Amurem. — Z dzienników rosyjskich domyślać się można, że podobne zajęcie „z powodu nagromadzenia rewolucyjnych żywiołów“ zagraża też, w danym razie, Rumunij.

W Królestwie najważniejszym faktem jest ogromne rozszerzenie cytadelli warszawskiej, która nie starczyła potrzebom XIX. wieku i rządu liberalnego. Trzecią część Pragi i kilka ulic Warszawy zająć mają pod nią.

Za błogie „urządzenie bytu“ tak pomyślnego, w Opocznej ludność miejscowa wystawiła pomnik wdzięczności. . . W Kielcach poświęcono nową cerkiew prawosławną, a namiestnik „z niesłychanym entuzjazmem po stacjach przez lud witany“ jeździł umyślnie na ten obrzęd pełen znaczenia.

Warszawa bawiła się w teatrzykach, na Bielanach i założyła nowe Towarzystwo ubezpieczeń od ognia. — Jarmark na wełnę był dosyć pomyślny, ceny o kilka talarów nad zeszłoroczne się podniosły; poszukiwanie było żywém.

Otóż wszystkie niemal nowiny z Rosji i Królestwa, zapomnieliśmy tylko o pierwszej czynności komitetu nowego cenzury, którego staraniem wszystkie pisma perjodyczne zostały obficie zaopatrzone w artykuły o Rosij lub z rosyjskiego tłumaczone.

Niemieckie dzienniki słusznie podnoszą ten fakt, który zmienia naturę samą cenzury; nie ogranicza się ona tém co niewolno, ale nakazuje co pisać. — Za Muchanowa polecano obszernie mówić o wężu morskim, teraz o Rosij. — Postęp widoczny.

W **Berl. Börs. Zeitg.** obszerny znajdujemy artykuł o działaniach partij socialistów rosyjskich, która jest częścią ogólnego stowarzyszenia międzynarodowego, mającego swą stolicę w Londynie. Towarzystwo rosyjskie stanowi sekcję tylko osobną w europejskiem. Wymieniony dziennik przywodzi ustęp z programmu socjalistów rosyjskich tyczącego się Polski, w tych słowach:

„Jarzmo, które cięży na Polsce, jest zarówno przeszkodą do rozwijania się społecznego Polski i Rosij, i musi być przez rewolucję społeczną skruszone.“

I dodaje, że sekcja niemiecka rewolucyjna w tym względzie

jest zgodną; cytując wyjątek z listu następujący (Karola Marx):

„Mogliście, pisze on, dodać i to w waszym programmie, że zagarnięcie Polski przez Rosję jest najszkodliwszą przeszkodą, bo ono było pierwszą przyczyną militarnego systemu w Niemczech i na całym stałym lądzie.“

W pewnym związku ze sprawą socjalistów jest aresztowanie w Szwajcarij mniemanego Neczajewa, które zbytnia powolność rządu federalnego szwajcarskiego zarządziła. Omyłka ta wywołała oburzenie powszechne i kilka już broszur ciekawych. W jednej z nich Serebrenikow opisuje jak z nim postąpiono („L'arrestation de S. Serebrenikow par la police de Genève.“). — W drugiej („Les Ours de Berne et l'Ours de S. Petersbourg. Complainte patriotique d'un Suisse humilié et desespéré. Neuchatel. 8. 45 p.“) opisane są wszystkie nadużycia policji rządu federalnego i wygnanie gwałtowne Mazziniego, odebranie bezprawne dzieci ks. Oboleńskiej, groźba wydania Francji pani Limousin, naostatek sprawa Neczajewa.

Położenie Szwajcarji jest bardzo ciężkie, ale bądź co bądź opinja ogólna potępia zbytnią uległość rządu federalnego dla despotycznych zachcianek i oburzenie jest wielkie.

Gdyby kiedykolwiek chciano usłuchać tego co uczą dzieje, przekonałyby się łatwo rządy, iż prądu takiego jakim dziś jest demokratyczno-socjalny, nigdy drogą ucisku i prześladowania się nie zwycięża. Żadna społeczność i żadna władza nie obroniła się ideom nowym karabinami i więzieniami, cenzurą i policją.

Swobodna tylko dyskusja i rozważenie kwestij wywołujących ruch socjalny, mogą na właściwą drogę reform go sprowadzić z drogi rozpaczliwej, rewolucyjnej. — Widziemy do czego w latach ostatnich doprowadziły środki ostre, wszędzie przedsięwzięte i wszędzie tylko wytwarzające widocznie nowe siły a dające wzrost żywiołom rewolucyjnym.

W położeniu Austrij nie zaszła żadna zmiana, wyjaśnił się tylko, jeśli wyjaśnienia potrzebował, programm gabinetu przejściowego hrabiego Alfreda Potockiego, po za którym dwie stoją ostateczności: reakcja lub federacyjny sytem. Mylemy się może, gdyż w Austrij trzecia jest możliwą także, nowy gabinet z innych ludzi z programem tylko przenicowanym.... Próby mogą trwać do nieskończoności.

W Galicij oprócz tak zwanych Stańczyków i ich organu **Czasu**, popierającego ministra rodaka, wszystkie stronnictwa zgodziły się na obstawanie przy rezolucyjnych żądaniach, — przy odrębności kraju.

Zjazd lwowski, który najrozmaiciej jest oceniany, w początkach burzliwy, ostatecznie niedoszły może w myśl tych co go zwołali, wydał jednak bardzo ważny rezultat, bo dozwolił ocenić siły grup różnych przekonań i ustanowić minimum żądań kraju. — Czas tylko i Narodówka pozostały w razem, pierwszy grupy Stańczyków, stosunkowo szczupłej ale silnie zorganizowanej i rozporządzającej środkami, których skuteczności zaprzeczyć nie podobna — druga jako organ tych co mu płacą — przedstawia interesa kieszeni redaktora.

Obok zjazdu lwowskiego, ściąga uwagę godzien opisu zjazd narodowy Lwowian i Szlązaków (bez udziału Poznania i Prus) do Krakowa. O zjeździe tym mówiliśmy poprzednio. — Najbardziej uderzającém było zjawienie się tego ludu szlązkiego, ze wszystkich polskich prowincij najwyżej wykształconego, świadomego swego powołania, pracowitego, oświeconego i tworzącego pierwszy zawiązek — nowej Polski. Pod przemagającém parciem opinij, która dziś każe się usuwać od wszystkiego co narodowe a polskie w Księztwie, nikt nie śmiał z Poznania pojechać do Krakowa; tożsamo stronnictwo, które panuje tutaj, w Krakowie jaśniało nieobecnością. Zachowawcze żywioły wszystkie cofnęły się przed demonstracją. — Pomimo to, zjazd ludowy wypadł świetnie, rozgrzał serca, wlał otuchę... zbliżył prawie nam nieznany Szlązk do Polski.

Jeden z włościan, którzy się tak odznaczyli rozsądkiem i wymową na zjeździe, bolał że im na Szlązku szlachta zniemczała. — Można mu było odpowiedzieć tém, że w innych prowincjach jest ona na drodze tej samej dobrowolnej metamorfozy — kosmopolitycznej. Od czasu jak patrjotyzm przeszedł do ludu — towarzystwo dobrze wychowane wyrzuciło go z salonu, przestał być modnym.

Patrjotyzm dziś to demokracja, socjalizm, rewolucja, racjonalizm — Umsturzpartei — z którą się porządni ludzie nie wdają.

Ostatni, który nas doszedł, numer **Kraju** zapisuje fakt ten, iż oprócz Czasu, całe dziennikarstwo galicyjskie uznało ogromną polityczną doniosłość uchwał zjazdu lwowskiego. Według Czasu składał się on z żywiołów anarchicznych. (Do nich liczy Czas — Smolkę, Ziemiałkowskiego, Samelsona, Kabata, Krzeczunowicza, Grocholskiego, Chrzanowskiego, Golejewskiego i t. p.) — „Naprzeciw całego kraju stoi Czas sam z kilku panami“ kończy przywiedziony dziennik, „nie dziwim się złemu humorowi.“

Kraj mieści w sprawie p. Kulczyckiego ze Zmartwychwstańcami list wielkiej wagi Barona Arnim, w którym ów zapewnia, że nigdy poselstwo pruskie żadnych dokumentów tyczących się pana Kulczyckiego dworowi rzymskiemu nie wręczyło.

Z powodu zjazdu we Lwowie ciekawą by można stworzyć statystykę stronnictw politycznych w Galicji. — Najprzód Stańczyki, czyli kawalerowie, tromtadracja, mameluki, rezolucjoniści, kołtuny, — dzicy.. Są to tylko główne odcienia.

Dziennik polski w bardzo dobrym artykule, broniąc się od wszelkiego z Czasem wspólnictwa, określa tak swoje i jego stanowisko:

„Czas uważa nasze stronnictwo za konserwatywne, ponieważ ono wraz wraz z nim odpycha skrajne programmy akcji politycznej, ale Czas nie zastanowił się podobno, iż czyniemy to z innych zupełnie niż on pobudek. Co innego jest bowiem wstrzymywać naród od zbyt śmiałych i nieroztropnych kroków dla tego, że szkodzić mogą jego interesom, a co innego z natury, z temperamentu, z uprzedzenia nienawidzieć wszelkiego ruchu, choćby zupełnie prawidłowego, — dla tego że ruch bywa zwykle rzeczą żywiołów mniej uprzywilejowanych, mniej historycznych, że bywa rzeczą świadomego siebie ogółu. a nie trzody pędzonej przez kilku pasterzy...“

Dziennik polski obstaje jak inne organa większości kraju za odrębnością Galicij, dodając: „Błędem i zbrodnią polityczną byłoby chcieć stawiać na własnych nogach, to co nie ma warunków żywotności. — Ale — Galicja posiada te warunki i jesteśmy za domaganiem się odrębnego stanowiska, bez względu na ustrój reszty Austrij.“

Dziennik lwowski o zjeździe politycznym pisze: „Rezultat zjazdu — żeśmy się poznali i że każde stronnictwo będzie szło swoją drogą, ale łatwiej będzie teraz, gdzie potrzeba i można połączyć się do wspólnej akcij.“

„Życie polityczne, dodaje D. L., gra przeważną w naszém mieście rolę.“ Agitacja wyborcza już się rozpoczyna.

W Poznaniu odbył się, jak wiadomo, Wiec ortograficzny, a na 25. do 30. Lipca zapowiedziany jest zjazd polskich przyrodników i lekarzy.

Wiec ten (d. 7. Czerwca) zgromadził około stu osób do sali Bazarowej, z Księztwa i Prus przeważnie. Zagaił go prezes Dr. Libelt obszerną i uczoną przemową, żądającą wyboru komisij ortograficznej, któraby wspólnie z innemi komisjami w tymże celu ustanowionémi, pracowała nad ustaleniem polskiej pisowni. — Przemawiał dalej czcigodny ks. Malinowski i kilku przytomnych. Wybrano do komisij ks. Malinowskiego, Libelta, Rymarkiewicza, Jerzykowskiego, Choińskiego, Rzepeckiego, Bentkowskiego, St. Koźmiana, Dr. Łebińskiego.

Życzym powodzenia pracy i — skutku jej wyglądamy, przewidując niestety, że komitety i komisje nie rychło się go nam doczekać dozwolą, że rzecz pójdzie w przewlokę i spełznąć może na niczém. Do tego pessymizmu upoważniają nas mnogie doświadczenia smutne.... Bogdajby było inaczej!

Wobec tak miłego objawu, jakim był zjazd Szlązaków do Krakowa, smutne wrażenie czyni korespondencja z Wrocławia, o odstrychaniu się młodzieży górno-szlązkiej od Polaków w uniwersytecie.

Powinno to ustać i musi się odmienić, dobrej woli a wytrwałości potrzeba.

Wspominaliśmy o liście kapłana z prowincji, umieszczonym w Dzienniku poznańskim, który dość surowo a bardzo sprawiedliwie ton polemiki Tygodnika katolickiego naganiał. Z wielkiém podziwieniem naszém, w N. 22 Tygodnika, przeciwko któremu głos podniósł, wyczytaliśmy teraz deprekacją i potępienie Dziennika, a obronę Tygodnika. Przyznajemy się

że zwrot ten był dla nas wielce niespodziewanym. Kapłan z prowincij powiada, że nowy list wystosował do Dziennika, którego on umieścić nie chciał. Odwołanie to brzmi dosłownie:

„Dobre korespondencje soborowe w Dzien. — oświadczenie samej Redakcji, iż z czystém sumieniem nie można występować przeciw instytucjom katolickim i dostojnikom kościelnym, oraz pohamowanie gwałtowności, z którą Dzien. dawniej występował np. przeciw pp. Karmelitankom, ustaliło we mnie przekonanie, że Dz. Poz. nie jest wprost nieprzychylnym i wrogim kościołowi, że dałoby się z niego usunąć wszystkie błędy, jakie jeszcze popełnia, gdyby Tygodnik nieco łagodniej i spokojniej z nim polemizować zechciał. Przekonanie zatem, że zgoda i porozumienie z Dzien. Pozn. wyszłyby na korzyść sprawie Chrystusowej zniewoliło mnie do ogłoszenia onych dwóch listów moich w Dzien., przepełnionych jednakże skutkiem nieostrożności wyrażeniami zbyt szorstkiemi, które mi się nawinęły pod pióro nieco rozgorączkowane i rozpędzone korespondencją gromiącą pewnego naszego ziomka, który uporczywie bezecne na ziemiach polskich o soborze rozsiewa wieści. Za te więc wyrażenia, aby sprawiedliwości stało się zadosyć, Szanowną Redakcją Tygodnika niniejszem przepraszam. — Na mocy takiego przekonania, które mogło mieć za sobą powody — powiedziałem w liście pierwszym „że Dz. Pozn. błędów przeciwko wierze popełniać nie chce i nadal się ich wystrzega.“

„Jednakże nad spodziewanie moje zachwiały całkiem to przekonanie o dobrej woli Dzien. artykuły jego o ks. Piotrowiczu, gdzie się Redakcja w duchu niekatolickim wyraża o Soborze, nędzna plotka wyjęta z Post, a powtórzona przez pismo poznańskie, a i rozprawa o ks. Staszycu, niepochlebne i nieprawdziwe rzucając światło na OO Jezuitów. Po takich wystąpieniach Dziennika nie mogąc z czystem sumieniem powtórzyć o tem piśmie słów powyższych w liście moim przytoczonych, bo oczewiście nie jednemu zdawać by się mogło, że błąd pochwalam. Ztąd też i cały list wymierzony przeciwko Tygodnikowi widzę się w konieczności odwołać.

„Za nic sobie ważąc miłość własną, a nawet nią gardząc, ilekroćby przeszkadzać mogła doskonałości chrześciańskiej, czynię ochoczo ten krok dla sprawy, może nie miłej mi osobiście, ale nakazanej głosem sumienia katolickiego. Sprawa Chrystusowa jest celem, treścią, jedyną pociechą i osłodą w życiu dla nas rodaków, tak przykrem i ciernistem — dla niej zatem gotów jestem ze siebie wszelką moralną uczynić ofiarę.“

Dziennik poznański na ten list odpowiedział tylko wykazaniem, że artykuły zarzucane mu, jako dowodzące niekatolickiego usposobienia, — drukowane były dawniej niż list kapłana polskiego: zatém zmiany przekonania wywołać nie mogły, a na tę inne wpływy i pobudki podziałały. — Ocenienie ich nie do nas należy, ubolewamy wszakże, iż nam poważnego głosu pojednawczego zabraknie. . . .

Gazeta toruńska zamieszcza dalszy ciąg artykułów w sprawach bieżących żywotnych, które jej zasługę stanowią, mówi w ostatnich numerach o języku polskim w kraju, o języku w kościele, o pożyteczności odczytów, o spółkach pożyczkowych, przygotowaniach wyborczych, kwestij narodowości wobec wolności politycznej i t. d. W ostatnim numerze znajdujemy wiadomość o restauracij pomnika Władysława Białego w Dywijonie, o której zkądinąd nie wiedzieliśmy.

Gwiazdka cieszyńska zapisuje że przed wycieczką do Krakowa dzienniki niemieckie sobie z niej żartowały, teraz milczą. Wybory na Szlązku z gmin wiejskich przypadają d 1. Lipca, z izby handlowej d. 4. Lipca, z większych posiadłości d. 6. Lipca. Oby jak najszczęśliwiej dla naszych ziomków wypadły.

Mówiliśmy nieraz już o **Rękodzielniku**. — Na czele Nr. 11. Redakcja smutną zdaje sprawę ze stosunków swych z abonentami. Nie po raz to pierwszy już słyszemy, że abonenci — nie płacą.

„Na rok 1870 mamy tyleż abonentów co w roku zeszłym, lecz zaledwie połowa opłacała prenumeratę do końca bieżącego kwartału“ pisze Rękodzielnik. — Ostatecznie jeszcze są straty, a Rękodzielnik zmuszonym jest zapowiedzieć, że jeśli w tym kwartale liczba abonentów się nie podwoi, on wychodzić przestanie. —

Cóż tu na to rzec!!. . . Kurjer krakowski i Kwiaty wychodzić przestały, Rękodzielnik żyje już tylko ofiarą wydawców; na ostatek Dziennik literacki przeszedł na własność Mrówki, z którą razem ma nadal wychodzić na pół przedarty.

Żałujemy szczérze Dziennika literackiego, którego istnienie uważamy za również zagrożone jak Mrówki

Redakcja tego pisma (Mrówki) przy najlepszych chęciach, które uznajemy chętnie, dała dowody takiej niemocy i braku sił, iż się po niej nie wiele spodziewać możemy. Bądź co bądź chęci nie starczą. zaufanie w sobie nie daje talentu, brak wykształcenia i dojrzałości pokryć się nie dają odwagą

Dziennik literacki taki jakim był dotąd, miał wielką zasługę, że poważniejsze prace drukował i z pomocą powieści wnosił je tam, gdzieby inaczej nie postały. — Mimo trudności i ciężkich chwil, trwał póki mógł na stanowisku i zasłużył się literaturze. Czy Redakcja nowa potrafi go utrzymać na tym stopniu, czy go zdoła podnieeć, czy to mnożenie pism w jednych rękach, Dziennika, Mrówki, Towarzysza uda się i powiedzie, dla nas jest więcej niż wątpliwém.

Gdy dwóch silnych ludzi weźmie się do podniesienia ciężaru, dźwigną go łatwiej, to pewna, ale gdy się dwóch chorych w jedno łóżko położy, trudno żeby im to pomódz miało.

Pierwszy to raz z powodu sprawy z Dzien. poznań. zmuszeni byliśmy zapoznać się bliżej z Tygodnikiem katolickim. Zaprawdę nie żałujemy pracy, bo się sowicie nagrodziła wiadomościami dla nas osobiście zajmującemi. Na połajania Tygodnika odpowiadać nie myślemy wcale; zacytować wolemy bardzo ciekawy list wyjęty z Tygodnika soborowego o Wilnie, Żylińskim i ks. Piotrowiczu. Zapewne go inne dzienniki przedrukują, bo w owych Tygodnikach Soborowym i Katolickim mało kto je czyta.

Redakcja, której znać polemika jak musztarda jest niezbędną do osmaczenia dziennika, zapowiada iż się weźmie w przyszłym numerze do rozbioru rozprawy Dr. Libelta — „Wcielające się idee XIX. wieku“ — pełnej kacerstw i niebezpiecznych figlików rozumowych. — Wiadomości potoczne chłoszczą oprócz tego Dziennik, Gazetę toruńską, nas osobiście i co się po drodze nawinęło. Dziennik pełen życia, choć jak na katolika strasznie zły i kąśliwy, ale w Dzienniku to przymiot przecie. Kapłańskiego ducha mało, za to żołnierskiego aż do zbytku.

Nekrologja niestety! obfita.

Wyprowadzenie zwłok Adolfa Łączyńskiego z Poznania, godném było męża, któremu ostatnią oddano przysługę. U domu żałoby przemówił od obywatelstwa Dyrektór Ziemstwa p. Józef Morawski. Była to jedyna mowa od kraju . . . gdyż na pogrzebie przemawiał tylko ks. prałat Janiszewski, starannie unikając wzmianki o zasługach zmarłego dla sprawy narodowej. Nikt zresztą nie miał mowy, bo dziś mówić . . . tam gdzieby ojczyznę wspomnieć trzeba — nie wolno. Taki jest rozkaz z góry.

W artykule Trzy pogrzeby, Dziennik poznański razem opisał wyprowadzenie zwłok ś. p. A. Łączyńskiego, Dr. Nieszczoty i Romana Kalksteina.

Zmarli także w tych czasach w Księztwie: ks. Rudolf Gawrzyjelski z Chełmińskiego, najpierwszy redaktor Przyjaciela ludu, d. 31. Maja w w. lat 35. Był to kapłan razem i Polak, który umiał obowiązki duchownego i obywatela z sobą połączyć.

Ignacy Kardoliński, syn rodziny zamieszkałej w Księztwie, zgasły w Cichocinku dnia 5. Czerwca. Pobierał nauki w Lesznie, kończył je we Wrocławiu. Brata jednego stracił w roku 1863 na polu bitwy, starszy wywieziony został na Sybir. Zacny człowiek był podporą rodziny wygnańca.

W Paryżu w końcu Maja skończył życie N. Karwowski, były poseł na sejm 1831 r. w 62 r życia. Był jednym z najczcigodniejszych członków starszej emigracji.

W Krzeszowicach pod Krakowem dnia 10. Czerwca, po długiej chorobie zmarł Dr. Antoni Sławikowski w 76 roku życia. Był professorem okulistyki w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Kraj poświęcił artykuł serdecznie, z uczuciem napisany, wspomnieniu zacnego, cichego pracownika Jana Kantego Turskiego. Turski był rodem z Krakowa (1832 r.) i tu ukończył nauki; w całém znaczeniu wyrazu był on dzieckiem krakowskiem a starą kolebkę ukochał miłością wielką, której wiele też w życiu poświęcił. Turski spędził żywot na twardej walce z najpierwszemi warunkami jego, których pracą żelazną dobić się nie mógł. — Oddany powołaniu nauczycielskiemu, pisał wiele i nie ustawał w pracy do końca. . . Był współpracownikiem pism kilku; wydał też kilka najszlachetniejszą dą-

żnością nacechowanych powieści. Trud, strapienia, położenie ciężkie acz osłodzone przez ukochaną żonę nadwątliły jego zdrowie i zbliżyły kres cierpień. Biedny pracownik upadł w końcu pod brzemieniem nad siły. Pokój mu wieczny...

W Warszawie zmarł Stanisław Bogusławski, znany pisarz dramatyczny dnia 10. Czerwca. Urodzony w Warszawie dnia 18. Grudnia 1805 roku, służył wojskowo, a w roku 1833 rozpoczął zawód dramatyczny na scenie. Zostały po nim ze znajomością wymagań teatralnych i talentem napisane komedje „Lwy i lwice“, „Złoty młodzieniec“, „Opieka wojskowa“ i t. d. Ze współczuciem odzywają się o nim oba warszawskie Kurjery.

Na Bielanach pod Warszawą u Kamedułów, zmarł dnia 5. Czerwca ks. Idzi Siennicki, zgromadzenia Benedyktynów w 74 roku życia. Był przez lat 30 profesorem szkół w Pułtusku...

W Oleksinie odbył się pogrzeb czcigodnej małżonki Januarego Suchodolskiego, Leokadji z hr. Suchodolskich.

W Petersburgu dnia 22. Maja umarł pamiętny z ostatnich wypadków w Królestwie jenerał Stefan Aleksandrowicz Chrulew.

Korrespondencye.

Listy Soborowe.

XXIII.

Rzym, 9. Czerwca.

(*γγ.*) D. 2. Czerwca kongregacja soborowa otworzyła się nabożeństwem ks. d'Ambrosio arcybiskupa z Durazzo i wstępowali na niej kolejno na mownice ks. Cugini arcyb. modeński, ks. Wanksa arcyb. unicki z Fagaras i Alba Julji, ks. de Dreux-Brézé bisk. z Moulins, ks. Strossmayer bisk. djakowarski i ks. Grimardias bisk. z Cahors. Ks. Cugini i ks. de Dreux-Brézé gorąco obadwaj występowali w obronie udogmatyzowania nieomylności, któremu inni trzej mowcy byli owszem całkiem przeciwni.

Ks. Wanksa przedstawiając niebezpieczeństwa wyniknąć mogące z nowego dogmatu dla odszczepieńców, którzy się nim bardziej jeszcze zrazić i odstręczyć dadzą od jedności ze Stolicą Apostolską, podniósł głos przeciwko barbarzyńskiemu postępowaniu Moskwy i najpierwszy z Ojców naturalném następstwem stanął w obronie uciśnionego Kościoła i Narodu polskiego. Mowa ta była powiedziana z ogromną siłą i niezmierne wrażenie sprawiła na Soborze. — Inni jednak przypisują to pierwsze energiczne ujęcie się za Polską księdzu Papszilagyi bisk. z Wielkiego Waradynu, który o parę dni wcześniej mówił. Niedano nam było sprawdzić z należytą ścisłością te odmienne wersje. Jednak co do faktu samego jest on pewnym jak słońce na niebie... Pierwszy tedy głos za Polską już się odezwał wśród Soboru, a chwalebna ta inicjatywa należy się biskupowi węgierskiemu i pasterzowi z mniejszości, z opozycji. Cześć jemu, chwała i wdzięczność od Narodu polskiego!.

Wstąpienie księdza Strossmayera na mownicę sprawiło jak zwykle nadzwyczajne wzruszenie między Ojcami. Mówił on przez półtorej godziny, a mowa jego wyryła się od razu złotemi głoskami w dziejach Soborów i w rocznikach krasomówstwa. Jestto nie tylko złoty napis, ale całkowity pomnik — *monumentum aere perennius.* Liczni przyjaciele wielkiego mowcy lękali się, aby bystrość jego wymowy i natchnienie buchające płomieniem nie uniosły go nadzbyt daleko i przy takiem rozjątrzeniu i roznamiętnieniu infalibilistów nie wywołały znowu jednej z tych scen hałaśliwych i gorszących, jakich dawniejsze jego przemówienie stało się było powodem. Ale biskup djakowarski potrafił panować cudownie nad sobą i rzekł burzliwemu jeniuszowi swemu jak morzu: Nie pójdziesz dalej! Ujął go niby w granitowe brzegi i skalistym wałem okiełznął jego porywczość, odepchnął jego wieczną falę. Precz ponad słowem swojém stworzył i rozpostarł wielką ciszę. Na wzór Oceanu spokojnego rozlało się ono ukojonym ogromem, pogodnym bezmiarem. Cała moc burzy, cała falująca potęga zstąpiła w głębiny i spoczęła na dnie pod wygładzoną powierzchnią, jak ryk lwa zakuty w jego piersi, kiedy odpoczywa.

A guisa di leon quando si posa.

Toń burzowładna rozgłębiła swe urocze błękity, ale w ich bezdenności, obok samorodnych pereł i korali z całą hojnością wielkiego morza sypanych, przeglądały tam i sam zdruzgotane nawy, szczątki pamiętnego rozbicia, zatopione ostatki wielkiej armady infalibilistów, cała podwodna rozsypka w przepaści niezliczonej floty nowych Argonautów w ich zuchwałej wyprawie po złote nieomylności runo. Wojsko to poszło na dno pochłonięte skrytym wirem tej wymowy jak chłonącą siłą starożytnej Charybdy, poszła się uwieńczać koroną rozbitków, nagiemi rozczochranemi morskiemi zioły, — i Ocean po nad tém wszystkiem snuł dalej swą nieskończoność, ciągnął swe pustkowie bez granic, po którém tylko słońce i księżyc przechadzają się, jak pustelników dwoje w wiekuistej za sobą pogoni.

Mowa ks. Strossmayera była stanowczą w dziejach watykańskiego Soboru i nie można już było na nią odpowiadać. Zadała ona ostatni cios nauce osobistej i odrębnej nieomylności papiezkiej, jakto przeczuwaliśmy w jednym z naszych listów. Większość rada byłaby ją przerwała znowu, zakrzyczała, stłumiła materyalną przemocą; gdy moralną siłą uczynić już tego nie mogła; ale nieszczęściem dla niej brakło jej powodów wymówek do takiego zamachu, i stać musiała przez półtorej godziny pod tym pręgierzem, wytrzymywać to gruchoczące zderzenie się z kolosem. Jakoż czując się całkiem rozbrojoną i zgubioną postanowiła zaraz po tej mowie uderzyć w ostateczność, chwycić się ostatnich ratownych środków, środków brutalnych, upakarzających. Potrzeba było gwałtem zamknąć usta mniejszości, stłumić jej głos, uczynić zamach stanu na Sobór... Zamysł ten pielęgnowany oddawna przez ludzi roznamiętnionych, a którym wszelką już broń skruszono w ręku, przyszedł do skutku nazajutrz, skoro pierwsza nadała mu się sposobność.

Jakoż dnia 3. Czerwca po nabożeństwie odprawionym przez ks. Dubreuil arcybiskupa z Awenionu odzywali się kolejno ks. Stahl bisk. z Würzburga, ks. Dinkel bisk. z Augsburga, ks. Moriarty bisk. z Kerry w Irlandji. Byli to przeciwnicy nieomylności, i większość bardzo ich niechętnie już słuchała, dając częste znaki niecierpliwości i gniewu. Aliści nareszcie wszedł na mownicę ks. Maret biskup z Sury, a samo to nazwisko jednoznaczne w jej oczach z herezyą rozdrażniło niewypowiedzianie większość. Cóż dopiero kiedy ks. Maret zaczął otwarcie uderzać na infalibilizm i bronił bez ogródek tych zasad, które niewłaściwie gallikanizmem, nazywają, gdyż do wszystkich należą narodów, tych zasad, które ks. Valerga patryarcha jerozolimski ochrzcił był przed kilką dniami nazwą monotelizmu, przyrównywając gallikanów do patryarchy Sergjusza, co też wywołało śmiałą odpowiedź biskupa z Coutances: „Niezapominaj mości patryarcho, że chorągiew tej Francji, którą tak lekceważysz sobie i czernisz, powiewa nad kopułą twego jerozolimskiego kościoła.“

Jeden tylko legat papiezki kardynał Bilio przytomny był na tém posiedzeniu, bo czterej jego legaci nie przybyli na nie. Kardynał Bilio więc po kilkakrotnie dzwonił, sierdził się i przerywał biskupowi surańskiemu. Kiedy ks. Maret wspomniał o większości i o mniejszości soborowej, kardynał Bilio zawołał w uniesieniu: „Ej co tam ksiądz prawisz o mniejszości, o większości i o tym podobnych parlamentarskich rewolucyjnych wymysłach!... Na Soborze niemasz większości ani mniejszości; są tylko Ojcowie, przez których przemawia Duch Święty i mała garstka ludzi, którzy się Duchowi Świętemu sprzeciwiają!„ Rozprawa staje się niepodobieństwem kiedy wchodzi w podobne stadium. Jednak ks. Maret ciągnął dalej pomimo takich przestróg widocznie nieznośnych, bo już go za każde słowo łapano; aż na koniec stu piędziesięciu infalibilistów powstało jak jeden człowiek na znak swoich przewódców i zaczęło wołać w niebogłosy: „Dość już tego! precz z mownicy! Żądamy zamknięcia dyskusji, *satis, satis!...*“ Tu się począł niewymowny zgiełk, wrzawa, tumult... Biskup surański napróżno się usiłował oprzeć tej gwałtownej reakcji przeciwko mowie, księdza Strossmayera, która się na nim skrupiła. Zakrzyczano go zagłuszono, a jak dodają omal, że nie ściągnięto z mownicy. Opuścił ją nakoniec założywszy uroczysty protest przeciw takiemu pogwałceniu swobody słowa, wolności Soboru.

Kardynał Bilio zaraz więc zamknięcie rozprawy oddał pod głosowanie i wnet uchwalone zostało przez trzy ćwierci zgromadzenia... Jednak 52 mowców było jeszcze zapisanych i czekających na głos. Między niemi znajdował się też biskup orleański, niewymownie zasmucony i zbolały, a którego biskup djakowarski jak najczulej pocieszał mówiąc mu, że Bóg mniejszości nie opuści skoro ma wewnętrzne przekonanie, iż powinność swą spełniła. Bóg sam resztę uczyni!...

Niepozostawało mniejszości jak tylko zaprotestować uroczyście przeciwko gwałtowi niesłychanemu w dziejach soborów a uprawnionemu niejako obecnym regulaminem, który nie był ułożony przez samych Ojców, jak na wszystkich Soborach dotąd bywało, ale samowolnie im narzucony przez legatów. Protestacja podpisana została u kardy-

nała Rauschera, który ją sam ułożył. Podpisało ją stu biskupów. Na czele stoją nazwiska kardynała Mathieu i bisk. orleańskiego.

D. 4. i 5. Czerwca deputacja dogmatu zbierała się dla ułożenia sprawozdania z dyskusji, w której przemawiała tylko zaledwie połowa zapisanych Ojców, bo 65., wówczas gdy 52. głosu pozbawiono. Trzeba bowiem odtrącić od tych 65 głosów urzędowych mowców, przemawiających w imieniu deputacji dogmatu.

Większość zaś ze swej strony zerwawszy tamy i śluzy swej niecierpliwości i gwałtowności postanowiła lotem błyskawicy pędzić do końca, do upragnionego celu, do udogmatyzowania nieomylności. Dano sobie słowo, iż cząstkowa, pojedyńcza rozprawa o przedmowie i o czterech rozdziałach konstytucji dogmatycznej przepędzona zostanie jak najśpieszniej.

D. 6. Czerwca zebrali się znowu Ojcowie. Mszą o Duchu Św. odśpiewał ks. Rossi-Vaccari arcybiskup kolosseński, poczém kardynał De Angelis oznajmił zgon ks. Tomasza Grant biskupa z Southwark w Auglji, zmarłego w Rzymie przed kilku dniami. Przystąpiono do rozbioru pojedyńczych części schematu, do rozprawy nad przedmową, *Proemium*. W imieniu deputacji dogmatu przemawiał ks. Dechamps arcybiskup mechliński, a po nim odzywali się za schematem ks. Amat bisk. z Monterey w Kalifornji, bisk. z Saint-Augustin we Florydzie, bisk. z Havany na wyspie Kubie, i ks. Magnasco bisk. z Boliny *in partibus*, wikarjusz czyli oficjał genueński; przeciwko schematowi zaś ks. Vérot bisk. z Savannah w Zjednoczonych Stanach, ks. Viard bisk. z Wellington, i ks. Thomas bisk. z La Rochelle.

Większość soborowa okazała się namiętną i niewymownie despotyczną względem mniejszości. Ks. Vérot, któremu infalibiliście zapomnieć nie mogą tego, że nazwał świętokradztwem głosowanie na korzyść nowego dogmatu, był celem ustawicznego wzywania do porządku ze strony legatów, aż w końcu wyuzdani infalibiliści przerwali mu głos tak jak dawniej ks. Strossmayerowi, tak jak świeżo ks, Maret. Rozprawa nad przedmową konstytucji dogmatycznej zaczęła się i skończyła tego samego dnia...

Tego samego dnia ku wieczorowi Ojciec Święty zstąpił z kapilcy sykstyńkiej przez królewskie wschody do Świętego Piotra ze wszystkimi Ojcami Soboru śpiewając litanje o wszystkich Świętych i *Veni Creator*, by uprosić łaski Ducha Świętego dla orzeczenia dogmatu nieomylności swojej. We wszystkich kościołach rzymskich odprawia się przez cały ten tydzień jubileuszowe nabożeństwo. Wszystkie bractwa i arcybractwa wiecznego miasta mają sobie wyznaczone kościoły, które w procesji nawiedzać powinny; ale od pięciu dni procesje wychodzić nie mogą, bo trwa ciągła ulewa z gradem i straszliwemi piorunami. Czy to mocy piekielne rozpasały żywioły w taki sposób, i ostatni szturm przypuszczają, czyli też Bóg daje poznać, ludziom, że Kościół jego w niebezpieczeństwie?

Na następnej kongregacji d. 7. Czerwca mszą o Duchu Świętym odprawił ks. Bar-Szynu arcyb. z Salmas obrz. chaldejskiego Przemawiali zaś: Kardynał Schwarzemberg. ks. Losanna bisk. z Biella, biskupi z Jorei, z Casale i z Paderbornu. Mowy kardynała Schwarzemberga i ks. Lozanna wymierzone były przeciwko schematowi. Na posiedzeniu tém zaczęła się i skończyła rozprawa nad pierwszym i drugim rozdziałem konstytucji dogmatycznej.

Dnia w czorajszego kongregacji nie było.

Powiadają, że na onegdajszém posiedzeniu deputacja dogmatu ujrzała nakoniec niepodobieństwo zostawienia schematu takim, jakim jest. Dodają, iż zmiany, jakie postanowiła w nim uczynić są już tak dalece posunięte, że większość zaczyna gniewać się i krzyczeć wniebogłosy. Obaczym co jest prawdziwego w tych pogłoskach.

Arcybiskup Kenrick wyjechał do Neapolu dla wydrukowania tam mowy, której nie mógł powiedzieć skutkiem zamknięcia dyskusji.

Ks. Cardoni arcyb. edesseński mianowany został archiwistą Stolicy Świętej i rozkazano mu objąć archiwum. Bardzo dawnemi czasy bywało dwóch archiwistów, ale oddawna był już tytko jeden — czcigodny O. Augustyn Theiner, którego jezuici napróżno usiłowali z miejsca wysadzić. Owoż zdaje się, że się im udało tą razą, i że nominacja słynnego infalibilisty ma na celu upokorzenie i wyrugowanie słynnego dziejopisarza, dziś niemiłego tutaj, bo świętobliwy i sprawiedliwy.

Adrjanopol, w Czerwcu 1870.

(P. L.) Znaną wam już jest zapewne odpowiedź patryarchy carogrodzkiego za udzielony Bułgarom firman oddzielnego kościoła. — Odpowiedź groźna, jasno wypowiadająca W. Porcie, że nie ma prawa mięszania się w sprawy religijne i nasuwające Bułgarom myśi nowej schizmy w kościele prawosławnym. — Biedni Bułgarzy, dotąd nie wiedzą co czynić: złote nadzieje niezależności, zaświeciły im próchna leśnego blaskiem. —

Zostają dwie drogi — rozdział — mówiąc jaśniej — nowa cerkiew, która musiałaby być narzędziem moskiewskiem, lub ogólne przystąpienie do unji. — W pierwszym kierunku mnóstwo pracowników; Filipopoli, siedziba najbogatszych Bułgarów, mrowisko wszelkiego rodzaju intryg propagandy protestanckiej, szczególniej się odznacza. — Przystąpienie do unji zależy w wielkiej części od duchowieństwa katolickiego, gdyby to zechciało rozszerzyć zakres działania i wpływów, gdyby dla korzyści kościoła nawet nie unikało środków politycznych, zapewniło unitom opiekę prawną, jednem słowem gdyby się zgodziło z postępem zachodnim. Na nieszczęście, spojrzenia księży zwrócone w strony soboru, a nieoświecony Bułgar, nie może zrozumieć ważności niektórych dogmatów. — Bohaterski czyn ks. Piotrowicza, który znalazł uznanie i okrzyk grozy w całej Europie — jest dotąd rzeczą nieznaną dla tutejszej ludności a jednak przykład ten dotykalnie przekonałby ją o potędze i wierze głębokiej katolicyzmu.

Tyle o patrjarchacie — następstwa czas okaże.

W Szumli na granicy wołoskiej zbiera się kilkadziesiąt tysięcy wojska tureckiego. Zbior ten ma być w związku z uroszczeniami księcia Karola do korony królewskiej. — Kozacy wymaszerowali. — Turcy proroczą niechybną wojnę. — Daj Boże! — W Adrjanopolu cisza śmiertelna. — Pozostali tylko niedobitcy, — między niemi ośmdziesięcieletni major polski, towarzysz sławy (compagnon de gloire) Napoleona I. jak dzisiejszy cesarz nazwał starych wiarusów, gwarzy mi o dawnych czasach, tęskni do Polski, gdzie chciałby kości złożyć.

Zapowiedziana od tak dawna budowa kolei żelaznej chwieje się. — Podobno Niemcy nie mają pieniędzy, podobo zastąpi ich francuzkie towarzystwo, podobno (co ciężko uwierzyć) Turcy sami chcą przeprowadzić przedsiębiorstwo.

Bakałym — zobaczymy — jak mówią Muzułmanie.

Wystawa rolniczo-przemysłowa w Przemyślu.

r. Dnia 28. Maja b. r. otworzono w Przemyślu wystawę rolniczo-przemysłową krajową.

Nie ulega wątpliwości, że wszelkie wystawy są pożyteczne i dla tego przez rządy i ludność wspieranemi być powinny. Jedynie na wystawach można zobaczyć wszystkie owoce rolnictwa i przemysłu krajowego; poznać wiele wynalazków i ulepszeń, ocenić stopień rozwoju lub upadku pojedyńczych gałęzi gospodarstwa, słowem — utworzyć sobie rzetelny obraz kraju i jego mieszkańców pod względem intellektualnym i materyalnym.

Jeżeli wystawa ma być istotnie pożyteczną, powinna być odźwierciedleniem prawdziwego stanu rolnictwa i przemysłu w całym kraju lub pewnej jego części. Są też wystawy powiatowe, krajowe, państwowe i międzynarodowe czyli powszechne. Żałujemy bardzo, ze przemyskiej pomimo jej nazwy, do żadnego z powyższych oddziałów zaliczyć nie możemy. Komitet wystawy zupełnie temu nie winien, ale raczej wszyscy ziemianie i fabrykanci, którzy mogli i powinni byli, a nie wzięli w wystawie udziału. Najtrudniej walczyć z obojętnością, która niestety tak silnie u nas zakorzeniona. Przemyska wystawa nie przedstawiła nam ani produkcyi w Galicji, ani nawet w przemyskim obwodzie. Była to pstra wiązanka polnych, leśnych i cieplarnych nawet kwiatów z pod różnego klimatu, rozmaitej barwy i woni, a i bezwonnych nie brakło.

Obok prawdziwie pięknych okazów zagranicznego bydła stały mieszańce, odznaczające się tem, że po swych rodzicach same tylko wady odziedziczyły. Wśród dobrych naszych pługów, piszczała obca locomobila, której wady zupełnie usprawiedliwiają właściciela, że mino wytrwałego obwożenia jej po wszystkich wystawach, dotychczas dzieła swojego nie sprzedał. Obok naszych wyrobów fabrycznych rozpostarły się dywany i ceraty, piękne lecz obce przybłędy, z któremi z zadziwieniem spotykaliśmy się na tak nazwanej „krajowej“ wystawie.

Były więc w Przemyślu niektóre bardzo piękne okazy, ale czy wystawa odpowiedziała swojemu zadaniu pod intellektualnym względem?... Niestety nie! Musimy acz ze smutkiem wypowiedzieć tę prawdę, właśnie dla tego, że nas boli. Spieszyliśmy na wystawę, aby się nauczyć, aby kraj coraz dokładniej poznawać, aby zarówno zdobycze jego na polu nauki i praktyki uznać, jako też i ujemne strony wynaleźć a przyczyny ich zbadać. Wróciliśmy wszakże z przykrym zawodem.

Gdybyśmy z własnych po kraju wędrówek, nie znali prawdziwego stanu rolnictwa i przemysłu — a jedynie z wystawy przemyskiej ocenić go chcieli: sąd nasz wypadłby niepomyślnie dla galicyjskiego gospodarstwa, którego zalety nie koncentrują się w tych kilku istotnie dobrych, zamożnych gospodarstwach, reprezentowanych w Przemyślu. Mimo ogólnego zaniedbania wyliczyćbyśmy mogli długi szereg gospodarstw i fabryk, które powinny były przedstawić swoje produkta a nie uczyniły tego.

Bydła rogatego widzieliśmy około 170 sztuk. Holenderska rasa najpiękniej reprezentowaną była okazami hr. Stefana Zamojskiego, hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, Teofila Ostaszewskiego i hr. Alfreda Potockiego. Szkocką rasę Airschire, którą uważalibyśmy za najodpowiednaszą naszym górskim okolicom, przedstawił w doskonałych okazach książe Adam Sapieha i hr. Włodzimierz Dzieduszycki. Szwajcarską Teofil Ostaszewski. Oprócz tych, wystawiono różnej wartości mieszańce ras zagranicznych między sobą lub w połączeniu z krajową. Ze wschodniej Galicyi przysłał bar. Romaszkan sześć wołów opasowych podolskiej rasy. Wzbudzały one podziw u publiczności swoim ogromem, a nawet niektórzy korespondenci pism czasowych przyznawać chcieli temu bydłu pierwszą nagrodę. My musimy ostrzedz ziemian, żeby chowu rasy podolskiej nie uważali za tak doskonałą spekulację, jaką na pozór robią Podolacy. Bydło to nie łatwo i nigdy dobrze się nie wypasa przed 4 rokiem życia, bo późno bardzo się rozwija. Rachunek tedy wykazałby małe zyski z chodowli — ale na Podolu rachunki gospodarcze nie w modzie. Pan Michałowski z Bolestraszyc dał dowód, że nasza rasa krajowego bydła, piękne i mleczne wydaje krowy, ale przy bardzo troskliwém i staranném utrzymaniu.

Pomijamy wiele innych dobrych okazów ograniczając się na wymienieniu najlepszych i w największej liczbie reprezentujących okoliczne obory. Przysłanie jednej lub dwóch sztuk bydła, choćby najpiękieijszego nie daje obrazu całej obory w gospodarstwie — bylibyśmy zatem przeciwni premiowaniu takowych.

Kilkadziesiąt koni arabskich, angielskich i mieszanych zupełnie nam nie przedstawiło rzeczywistego stanu tej ważnej gałęzi gospodarstwa galicyjskiego. Książe Adam Sapieha choduje obecnie przeważnie powozowe półkrwi angielskie konie — a pp. Horoch, Borowski, Masłowski przysłali po kilka arabskich klaczy wcale nieszczególnych. Z koni roboczych, najważniejszych dla nas, zaledwo dwa pojawiły się na wystawie. A przecież mamy tyle znakomitych stadnin w kraju, i tak licznych, że produkcja owsa nie wystarcza na zaspokojenie konsumcji jego w Galicji.

Owce cienkowełniste szczególniej Negretti stosunkowo najlepiej reprezentowane były. Dosyć wymienić okazy pp. Skrzyńskiego, Jabłonowskiego, Żeleńskiego, hr. Potockiego.

Nierogacizna składała się z kilkunastu sztuk angielskich ras Yorkschire, Suffolk i Essex wystawionych przez pp. Lisowskiego, Jezierskiego Brenera. Okazy były bardzo piękne i do poprawy naszej rasy krajowej bardzo odpowiednie.

Z machin na pierwszém miejscu stawić musimy żniwiarkę angielską p. Brigham, która oprócz dawnego systemu cięcia odznaczała się wybornym przyrządem do składania zżętego zboża. Podczas próby kilku rozmaitych żniwiarek ta otrzymała bezwzględne pierwszeństwo. O locomobilach dwóch obcych i trzeciej ze stojącym kotłem ze Lwowa moglibyśmy nie wspominać wcale. Zresztą były zwykłe młocarnie, sieczkarnie, młynki, siewniki, pługi, grabie drapacze i t. d. i t d. A nowością uderzyła nas młocarnia do koniczyny, która probowaną być nie mogła więc i ocenić jej nie możemy. Dokładném wykonaniem, ilością okazów i umiarkowanemi cenami odznaczały się: fabryka p. Konopki z Mogilan, p. Petersheima z Krakowa, p. Eliaszewicza z Tarnowa, p. Dornwalda z Ujkowic i Lampeckiego z Zarzecza.

Powszechną uwagę zwracała maszyna pomysłu p Konopki, służąca do odczyszczania zboża z nasion groszku i wyki polnej, co było dotychczas prawie niepodobnem. F. Konopka uzyskał medal srebrny na wystawach w Wrocławiu i Krakowie za swoj wynalazek w r 1869. Olbrzymi aparat gorzelniany p. Szumkowskiego z Opawy zadziwiał dokładnością wyrobu i dobrocią materjału Też same zalety odznaczały kilka powozów i wózków miejscowego wyrobu.

Z wyrobow fabrycznych widzieliśmy wszelkie przetwory nafty i wosku ziemnego z Samborskiego i Sanockiego obwodu, cukier z Łańcuta, Olej i makuchy z Malczyc p Brenera, Spirytusy i likiery z kilku fabryk krajowych, sukno z pod Lwowa, cegły, rurki drenowe i dachówki ze Stillerówki we Lwowie, wyborne sery p. Kazimierza Żeleńskiego z Cichawy pod Bochnią, wino podolskie ks. Adama Sapiehy z Bilczy, zapałki, nasiona, przędze różne z jedwabiu, lnu i konopi, wyroby koszykarskie i słomiane i wiele innych.

Przytem było kilka sklepów z obcemi produktami jak z francuzkiem i winami, dywanami, ceratą, herbatą i t. p. Zkąd się wzięły na wystawie krajowej te towary? Na to chyba tylko Komitet urządzający ją odpowiedzieć może. My tego nie rozumiemy.

Oddział leśnictwa i ogrodnictwa nic do życzenia nie pozostawiał. W pierwszym widzieliśmy okazy wszelkich gatunków drzew starych w przekrojach dochodzących do 50 cali średnicy, mianowicie buki, sosny i jodły, oraz młodych sadzonek przeniesionych na wystawę ze szkółek leśnych wzorowo utrzymywanych w lasach ks. Adama Sapiehy i hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, najzasłużeńszych gospodarzy leśnych w Galicji. Modrzewie znacznej wielkości z ich lasów przypominały nam owe świetne czasy dawnej Polski, która obfitowała w to cenne drzewo i tyle nam budowli trwałych z niego wystawiła. Teraz osika jakby na urągowisko zajęła miejsce modrzewiowych lasów. Na szczęście, obok licznych wrogów w bankrutującej szlachcie polskiej, mają nasze lasy zacnych opiekunów, którzy ich całkowicie wytępić nie pozwolą.

Ogólne wrażenie jakie wywarła na nas wystawa w Przemyślu odbiło się dosyć smutnym dzwiękiem w sercu naszém. Większa część okazów należała do tych gospodarzy, którzy bez trudu za gotówkę sprowadzać mogą wszystko z obcych krajów. Owoców zaś pracy i nauki w własnym kraju trudno było na wystawie dopatrzeć. Jest ich istotnie bardzo mało u nas, ale i ta mała ich liczba gdyby była wystawioną na widok publiczny, możeby nie jednego do pracy zachęciła, błądzącego na właściwy kierunek wprowadziła a zbolałych upadkiem krajowego gospodarstwa pocieszyła i nadzieję lepszej przyszłości wskazała. Moda w chowie pewnych ras zwierząt domowych, zamiast chęci zadość uczynienia wyrozumowanym potrzebom gospodarstwa; ślepe naśladowanie fantazji pńaskich, brak rachunku w każdém przedsiębiorstwie, nieznajomość najgłówniejszych zasad nauki rolniczej i brak chęci nabycia onej, dobrowolne zerwanie z ogólnym postępem rolnictwa i przemysłu, i lekceważenie obowiązków, które ziemianin wypełniać powinien jako prawy obywatel kraju i członek społeczeństwa, oto wybitne cechy dzisiejszego ziemiaństwa w Galicji. Jednostki nie należące do tego śpiącego tłumu walczą rozpaczliwie z przesądem, złą wolą, obojętnością a nawet szyderstwem braci sąsiadów i tylko głębokie a sumienne przekonanie, że krajowi dobrze służą podtrzymuje ich i do wytrwałości zachęca. Oprócz wyżej wymienionych chorób, na które leczyćbyśmy się powinni — objawia się we wszystkich sprawach i czynnościach naszych pewien nieład, który już nieraz chciano usprawiedliwić „polską naturą.“ Świeży przykład nieporządku i zamieszania przedstawiła nam właśnie wystawa przemyska.

Już minęły czasy, gdzie urządzenie wystawy zależało od fantazji tego, który się nią zajmował. Dziś, gdy wystawa ma uczyć i w krótkim czasie przedstawić obraz duchowy i materjalny całego kraju i społeczeństwa, powinna być uporządkowaną jak spis obejmujący treść (książki) dzieła. Są na pewnej podstawie ugruntowane przepisy i rady, podług których każdą wystawę urządzać należy. Geniusze tylko kroczą całkiem nowemi drogami i łamią potęgą swego ducha wszelkie dawniejsze ramy, tworząc w ich miejsce inne — lepsze. Że geniuszami nie byli twórcy wystawy przemyskiej, — a utorowaną drogą iść nie chcieli, przekonaliśmy się zbyt dokładnie. Oprócz machin i narzędzi, które skupione były, niczego zresztą znaleść nie było można. Ztąd ogromne utrudzenie fizyczne i umysłowe dla zwiedzającego i trudność porównywania podobnych sobie, ale nierównych przedmiotów. Idąc od bramy wzdłuż szopy naprzód zatrzymaliśmy się przy powozach — dalej zaraz spostrzegamy pod tym samym dachem małą restaurację z szynką, piwem i wódką. Za nią wystawa piwa, nieco dalej cukiernia, wystawa ornatów kościelnych, dziewczyna sprzedająca gościom wodę sodową i następnie woły podolskie. Przytoczyłem tu tylko jeden mały a prawdziwy przykład nieporządnego rozkładu wystawionych przedmiotów. Ale żebyto przynajmniej był ktoś z gospodarzy lub delegatów wystawowych, którzyby oprowadzali i objaśniali każdy okaz zwiedzającym. — Jednakże nikogo nie widzieliśmy, ktoby nas umiał i chciał w czemkolwiek poinformować. Spisów także żadnych nie porobiono, co wielką szkodę przyncsi wystawcom i zwiedzającym.

Pomijając nareszcie wiele drobnych dowodów niepraktyczności i nieporządku dotknąć tu muszę dwóch jeszcze bardzo ważnych, palenia tytoniu i jeżdżenia po placu wystawy. Pierwsze grozi niebezpieczeństwem pożaru, zwłaszcza przy tylu zapalnych materjałach jak słoma, nafta, olej i t. p. Drugie jest co najmniej dowodem lekceważenia publiczności i objawem barbarzyńskich w XIX. wieku obyczajów. Na wszelkich wystawach, gdzie właśnie swobody i spokoju do oglądania przedmiotów potrzeba, najłatwiej zdarzyć się może wypadek stratowania lub przejechania. Surowo też przestrzegają wszędzie, aby oprócz wozów z żywnością dla zwierząt nikt na plac wystawy nie wjeżdżał. Tymczasem niektórzy członkowie komitetu wystawy przemyskiej sami w tej mierze dawali zły przy-

kład, co słusznie oburzało publiczność. Trzeciego zaś dnia wjechał szumno pan cesarsko-królewski konjuszy otoczony kilku gospodarzami wystawy strojnymi w kontusze, karabele i kołpaki z czaplemi piórami!... Powozy ich roztrącały spokojną publiczność, jak gdyby owych 20. kroków dzielących bramę od wnętrza wystawy niemógł pan koniuszy przejść piechotą. Zanadto szafowano kontuszem, za często ściągano rękę do czapki — ale to jest w przemyskim powszechnie przyjęte i znane od dawna .. niestety!

W całej wystawie dwóch czy trzech tylko włościan udział wzięło i to tych, których zawsze bierze z sobą pewien zasłużony około podniesienia oświaty i bytu włościańskiego obywatel sanockiej ziemi p. T. O. O zachęcenie innych nikt się nie troszczył, nikt nie pomyślał, że wystawa najlepszą przedstawia sposobność do zbliżenia się z włościanami, których koniecznie przygarnąć trzeba i zamiłowanie do zgody, pracy i nauki rozbudzać.

Mieliśmy więc wystawę w Przemyślu, ale okazem najwybitniejszym i najmsutniejszym była ona sama, bo przedstawiała treść społecznych wad naszych i dowiodła jak mało mamy ludzi, prawdziwie kraj kochających i o dobro ogólne troskliwych.

Nowe Książki.

Życie Benvenuta Cellini złotnika i rzeźbiarza, przełożył z włoskiego Hieronim Feldmanowski. — Poznań, nakł. Tłumacza T. I. 1868. XI. i 325. Tom II. 1868. str. 453.

Chociaż przekład ten nosi na sobie datę poczęcia druku, ukazał się w całości dopiero w końcu 1869 Nie możemy go pominąć zbywając pobieżną wzmianką, jest to bowiem dzieło samo z siebie wielkiego charakteru i zajęcia, tłumaczenie stanowi zasługę tego, który się go podjął wierząc, iż u nas też ludzie się na niem poznają, naostatek trokliwość i zamiłowanie z jakiem przekład dokonano nie jest u nas zwyczajném.

Mieliśmy zręczność nie jednokrotnie mówić o tém gdzieindziej. jak dalece tłumaczenia w ogóle dzieł literatur obcych byłyby naszej pożyteczne. Wszystkie narody kształcą się i wypełniają wchodząc w to wspólnictwo ducha, które zapoznanie się bliższe z treścią i formą dzieł obcych stanowi. Wszelka literatura zamknięta w sobie marnieje jak odcięta od pnia gałęź, bo ludzkość kształci się pewnym pracy podziałem, robotą rozdzieloną na narody, tak że w cywilizacji ogólnej każdy coś przynośi i każdy coś bierze... a ten co chce ograniczyć się własnemi wyroby zawsze powoli dziczeć musi. Ilekroć literatura jakiegoś narodu po chińsku się oddzieli od innych a zamrze sama li w sobie, upadek jej po wyczerpaniu sił i pewnym czasu przeciągu jest nieuchronnym.

Dla tego dzwoniliśmy nie raz na przekłady arcydzieł literatur klasycznych, i bolejemy, iż nam z nich tylu braknie; — gdy pobieżnych, lekkich, małowartych produkcij chwilowej rozrywce służących, tłumaczą się stosy bez żadnej korzyści oprócz zabawy tych co się tylko bawić pragną. Shakspeara mają już Niemcy oddawna kilkakroć, Dantego kilkadziesiątkroć, starożytnych pisarzy niezliczone wydania, toż samo Francuzi, Włosi, Holendrzy, Szwedzi, my połowę skarbów ogólnych ludzkości dotąd jeszcześmy sobie nie przyswoili. — Tłumaczono u nas niegdyś i wiele i dobrze i z oddaniem się pracy a zamiłowaniem, dziś przekłady, stans pede in uno dokonywa płatny od arkusza robotnik, gdyż tego inaczej nazwać niepodobna, a po upływie lat pary, idzie to do kosza na zapomnienie. Spisać desideranda nasze, zatrudno by tu było.

Weźmy literaturę klasyczną, ile nam z niej brak. Czyżby nie było z największą dla piśmiennictwa korzyścią, gdybyśmy owe XVI. XVII. w. językiem starym naszym dokonane tłumaczenia klasyków, z notami uzupełniającemi jakich stan dzisiejszy filologij wymaga — na nowo wydali przedsiebiorąc te, na których zbywało, Czybyśmy Shekspeara zbierając co Paszkowski, Koźmian, Hołowiński i inni wykonali, resztę powierzając nowym tłumaczom — nie mogli już mieć całego? Cervantesowego Don Quixotta zostawił Fontana nowy i wyborny przekład... Ale Calderon, Lope de Vega, a Luizjady, a mnóstwo rzeczy innych pożądanych, a z nowszych Göthe naprzykład i niemieckich dzieł mnóstwo. Co by tu było do roboty, gdyby... ale westchnąć potrzeba — w młodzieży na przód stworzyć należy czytelników... miłość nauki... miłość pracy...

Mówmy o Benwenucie. Imie tłumacza znane jest jako jednego z najzdolniejszych a skromnych pracowników w Poznańskiem, piękny talent formy, język wyborny, przytém sumienność wielka. Nie znamy u nas lepszego przekładu powieści nad jego Improwizatora Andersen'a (1857). Rzecz sama śliczna, a jednak ledwie znane. Tłumaczył także Obrazki tegóż autora P. Feldmanowski wydał kilka zbiorów poezij rzeczywistego dowodzących talentu, przekład pieśni ilirskich i kroackich... naostatek rzecz o Wenecji (w przededniu 1866. r.)...

Wszystkie te p. Feldmanowskiego przekłady odznaczają się widocznem wypracowaniem nie powszedniém, staranném, dokończeniem... znać że poszły nie na zamówienie, ale z zamiłowania. — I to u nas dziś rzecz rzadka....

Z zamiłowania mógł też wypłynąć zamiar tłumaczenia pamiętnika Benvenuta Cellini, który u nas tylko przez wyborowych czytelników poważniejszych oceniony być może. Dla ogółu książka nie naszego wieku, nosząca na sobie tak żywe piętno epoki, właśnie zaletami swemi stanie się dziwaczną i niesmaczną. Potrzeba pewnego wykształcenia, aby się rozmiłować w prawdzie i umieć się przenieść na odległe stanowisko pisarza.... Ocenić też pamiętnik Celliniego mógł Göthe, co go z entuzjazmem tłumaczył, uderzony oryginalnością i żywością obrazu, ale nie każdy się w nim równie rozmiłuje. Jest to włoski Pasek z tą różnicą, że był dzielnym artystą Znakomita postać na tle XVI. w., postać jakiej sztuką odtworzyć byłoby niepodobieństwem, bo by nikt nie wyroił takiego zbiorowiska uczuć i pojęć wzniosłych i dziecinnych, szlachetnych i dziwacznych, takiej buty, fantazij, energij — a dobroci, jakie się nam w Cellinim przedstawiają. Zachwyciła Göthego ta prawdziwość obrazu, chociaż niewątpliwie po swojemu wyidealizowanego. — Aleć i sposób idealizowania wiek a człowieka charaktetyzuje.

Włochy artystyczne w XVI. w. — całe się nam w tém jenjalném rękodzielniku artyście malują z nieporównaną siłą i naiwnością. Książki tej przyswojenie ltieraturze naszej odważne poczytujemy za wielką zasługę; książka ta zostanie – choć by ją niewiele osób czytać chciało i mogło — ale to prawdziwy przysmak dla wybranych.

Dr. Omega.

Pisma Jakuba Jasińskiego, Jenerała inżynieryi w b. wojsku Litewskiem. — Kraków. Dr. Uniwers. 1869. 8. str. 135. Wydanie J. R. B.

Recenzent Czasu surowo się obszedł z pismami jenerała Jasińskiego, znalazłszy je lichemi i odmawiając im wszelkiej wartości. Dzisiejszą miarą je mierząc, w istocie mało się tu znajdzie poezyj prawdziwej, a forma zupełnie dla nas niesmaczna, ale nie zapominając kto był jenerał Jasiński, znajdziemy w nich pamiątkę szacowną i dokument do obrazu końca XVIII. w. wielce drogi.

Jasiński jak wiadomo w 1794. w Wilnie wywołał powstanie, a zginął nie chcąc się poddać, przy szturmie Pragi 4 List. 1794. r. Był to żołnierz i patrjota bohaterskiej cnoty.

Na niezzczęście był też Jasiński, jak wielu współczesnych jego, wolterystą, niedowiarkiem, liberalnym duchem, a to w oczach recenzenta zaćmiło jego sławę bohaterską i odjęło pismom wartość — nawet tę, której stracić nie mogą jako materjały historyczne. Łatwo było potępić przestarzałego autora piosenki:

Chciało się Zozi jagódek. —

Trudno w nim, przy najlepszej znowu chęci, znaleść wieszcze natchnienie, są przecie wiersze patetyczne, silne i wdzięczne, są ciekawe zabytki uczuć, pojęć i wyobraźni. Za arcydzieło Jasińskiego uważać można Kij Krzywy:

Pójdź do mnie kiju krzywy! już twojego pana,
Na nowe pędzi fale powtórna odmiana!
Zrzeczmy się miejsca, sławy, fortuny, honoru,
Aniś ty zrósł do miasta, ani ja do dworu —
Równie nas obu płonne nadzieje zawiodły,
Tyś bez skówki żeś gruby, mnie źle żem niepodły.

Cały zbiór i spuścizna po jenerale składają się z wiersza obszernego o Stefanie Batorym, kilku okolicznościoywch, (Do Exulantów polskich 1793 roku) ze śpiewek jak ów o Zosi i jagódkach, z poemaciku swawolnego Sprzeczki, w którym są dowcipne często ustępy, i z niewielu Bajek. Wiersz w poważnych deklamacyjną ma cechę, ale nie jest bez zalety, w swawolnych lekki i zręczny często, w niektórych dosyć pospolity i nie odznaczający się niczem. Książka też to — pamiątka, dokument, rzecz bibljoteczna, temat do studjów nad literaturą XVIII. w. i przyczynek do biografij Jenerała, którą wydawca skreślił na początku.

Szczegółów o żywocie mamy szczupło bardzo.

Dr. Omega.

Rozmaitości.

— Dzięki gorliwości niezmordowanej rzeczywiście, hr. Wł. Platera założyciela muzeum historycznego w Rapperswyll, instytucja ta rozwija się z wielkim pośpiechem i powodzeniem. Zamek wyrestaurowany, przybywa darów mnóstwo i pamiątek prawie każdodziennie. Dotąd wszakże więcej z zagranicy niż z kraju.

Hr. Plater, który wydał niedawno nekrolog hr. Montalemberta (Zürich) drugą edycją jego, z portretem, na korzyść muzeum wydrukował. (Drezno. Cena 2 franki).

Zachęcać do podtrzymywani tego zakładu zdaje się niemamy potrzeby, jesteśmy pewni, iż gorący trud założyciela do wszystkich serc przemówi przykładem.

— Redakcja Kurjera Krakowskiego słusznie się nas dopomina o sprostowanie, gdyż ona w Nr 83. d. 10. Kwietnia, dała wiadomość szczegółową o delegowanych przez Towarzystwo Naukowe Krakowskie, osobach mających sądzić o wyznaczonem premium ks. Lubomirskiego z Rozwadowa. Jest to omyłka z naszej strony, ale nad brakiem zajęcia tą sprawą i milczeniem dzienników ubolewać należy.

— Ogłoszono zatwierdzenie kolei żelaznej kijowsko-brzeskiej. — Przedsiębiorcą jest R. R. Riabinin, obowiązany zbudować kolej całą z Kijowa do Berdyczowa i do Brześcia litewskiego, z odnogą do Radziwiłłowa i Galicji (535 wiorst razem). Pierwsza część kolei ma być gotową w rok, całość w półtrzecia roku. Kapitał zakładowy wynosi 45,650,250 rubli srebrnych.

— Oddawna pożądaną była dla archeologów mappa, któraby dozwalała objąć wejrzeniem w jakich miejscowościach pamiątki epok różnych znajdowano.

Dotąd wszakże ani na ilość umówionych znaków, ani na kolory ich i t. p. nie było zgody. Towarzystwo Naukowe Krakowskie za inicjatywą hr. Al Przeździeckiego i prof. Łepkowskiego przyjęło już pewną ilość znaków w tym celu wykonanych.

Kolor brunatny oznacza epokę kamienną, pierwotną, żółty kamienną powtórną, zielony epokę bronzu, fioletowy epokę żelaza, niebieski drugą epokę żelazną, czerwony epokę rzymską. Znaki są następujące: 1. Jaskinie kościodajne. 2. Budowle napalach. 3 Grodziska. 4. Wały. 5 Izby grobowe. 6 Mogiły. 7. Budowle kamienne. 8. Ołtarzyska. 9. Bożyszcza. 10. Kamienie runiczne. 11. Dolmeny. 12. Cmentarzyska. (popielnice). 13. Kości luozkie (trupie głowy) 14. Kości zwierzęce, (rogi jeleni). 15. Sprzęty z epoki kamienia nieszlifowanego, (siekiery). 16. Sprzęty z epoki kamienia szlifowanego, (młoty). 17. Sprzęty z epoki bronzu, (celt). 18. Z epoki pierwszej żelaza. 19. Z epoki drugiej żelaza. 20. Kulki szklanne. 21. Pieniądze. 22. Zabytki rzymskie. 23. Muszle. 24. Pola bitwy.

Samo z siebie jest widocznėm, iż mappa archeologiczna najlepiej by ukazywała osiedlenie w różnych epokach, stan kraju, wędrówki ludności. stosunki z sobą plemion różnych i t p. Hr. Przeździecki ma się znajdować na kongresie archeologów w Bolonii i przedstawić projekt tych znaków, do powszechnego przyjęcia.

— Dowiadujemy się z pewnego źródła, iż zamierzona przemiana Kwiatów na pismo illustrowane, nie przyjdzie zapewne do skutku.

Natomiast układa się plan wydawnictwa nowego, odpowiedniego wymaganiom czasu illustrowanego dziennka w Krakowie, które ma nosić tytuł: Dzwon. Przygotowania ku temu już są poczynione, a wnosząc ze znanych nam imion osób, które się zajmują wydawnictwem, można mu świetną przyszłość rokować. Tej z serca Dzwonowi życzymy, boć potrosze wstyd dla Krakowa i Lwowa, że się dotąd na oryginalne i artystycznie prowadzone pismo jak Tygodnik i Kłosy zebrać nie mogą. Wszystko co w tym rodzaju dotąd zrobione, nader jest ze wszech względów ubogie i ułomne.

— W Lignicy na Szlązku w bibliotece kościoła ŚŚ. Piotra i Pawła, nauczyciel wyższy Dr. Kraffert i dijakon starszy Penzig, wynaleźli dawny rękopism Tytusa Livjusza. — Znajduje się w nim prawie całkowita dekada czwarta, która uczonemu światu będzie pożądaną. —

— Przy uniwersytecie Lipskim (ustanowił rząd saski nową katedrę języków słowiańskich, na którą od półrocza letniego powołano Dr. Liskiena dotąd profesora tegoż przedmiotu przy uniwersytecie w Jena od śmierci Schlejchera. Była ona tém pilniejszą potrzebą w Saksonij, że kraj ten liczy do dwóchkroć sto tysięcy Serbów Łużyckich (Wendów) i mnogie zachował pamiątki prastarej słowiańszczyzny. Stolicą, jak wiadomo, Wendów Łużyckich jest Budziszyn. (Bautzen).

— **Dixon'a, Free Russia**, ukazuje się w tłumaczeniu niemieckiem znanego literata Adolfa Strodtman'a u Dunckera w Berlinie. Pierwszy tom w tych dniach się ukaże. — Godziłoby się podjąć przekład jego na język polski.

— Pani Marja von Roskowska, jeśli nie osobą to imieniem Polka, w literaturze niemieckiej dosyć znana wydała w Berlinie u Dunckera zbiór powieści pod tytułem „Unpolitische Geschichten." Pierwsze wydanie pierwszego tomu było skonfiskowane z powodu powieści „Eine Concession" W drugiem wydaniu z powodu wyroku skazującego ją na zniszczenie, powieść ta została opuszczoną. Dwie inne równie przez prokuratorją obwinione, zostały przed sądem oczyszczone z zarzutów. Noszą one tytuł: „Ein Wanderlehrer" i „Ein Hilferuf" a malują nieszczęśliwy stan nauczycieli wiejskich z powodu lichej płacy i złego obchodzenia się z niemi duchowieństwa.

— Towarzystwo wychowania i oświaty w Paryżu chcąc uczcić pamięć zmarłego hr. Montalembert'a, który mając lat dwadzieścia rozpoczął walkę o swobodę nauczania, poleciło członkowi swemu (i członkowi Instytutu) P. A. Cochin pośmiertną pochwałę, którą on publicznie na posiedzeniu Towarzystwa odczytał. — P. A. Cochin był przyjacielem zmarłego a odczyt jego nacechowany uczuciem przejął słuchaczów.

Montalembert dzieckiem jeszcze z jednym ze swych towarzyszów szkolnych związał się wspólnym aktem na piśmie, iż oba w ciągu życia służyć mają i poświęcać się za honor, za wiarę, za swobodę, i ojczyznę. Nigdy też dobrowolnie do końca życia nieuchybił temu zobowiązaniu. Montalembert gorliwy katolik, bronił szczególniej swobody katolicyzmu, wychowania katolickiego, miłosierdzia katolickiego, Irladij katolickiej, Polski katolickiej i Libanu .. Przyznał się pod koniec życia, że stając w obronie swobód niespodziewał się wcale, aby absolutyzmowi i despotyzmowi w Kościele miał się kiedy bronić. „Ale — pisze on w liście swym — któż mógł przewidzieć w r. 1847., że liberalne panowanie Piusa IX. któremu przyklaskiwali wszyscy obu światów miłośnicy swobody, stanie się panowaniem tem którego wyraz stanowi Univers i Civilta."

— Dziennik l'Histoire, (d. 16 Maja) podaje opis wypadku w Rosij bardzo pospolitego, odarcia i prześladowania bezbronnego cudzoziemca przez policją. . . Pokrzywdzoną jest panna Mallet, modniarka która miała magazyn w Kijowie i nadto się podobała policmajstrowi Plechanów. Dla pozyskania jej wzajemności więził ją, odarł, zrujnował, prześladował. P. Malle potrafiła cudem wyrwać się z tych szpon, ujść z Rosji i zapozywa Cesarza Rosyjskiego o wynagrodzenie poszkodowania a ministra francuzkiego o brak opieki nad sobą. Plechanow wprawdzie na skargę jej został sądzony i skazany na zsyłkę, ale P. Mallet poniosła straty niepowrotne. Pozew brzmi bardzo dziwnie, i naturalnie do niczego nie doprowadzi, równie jak zapozwanie Ministra Ollivier, ale dziennik słusznie uwagę czyni, iż Anglja w takim razie o szkodę wyrządzoną poddanemu swojemu upomniećby się potrafiła.

(. . . . . assignation au Sieur Alexandre-Nicolaiewitsch de Holstein-Gottorp, dit Alexandre Deusse (sic) exerçant communement a S. Petersbourg (Russie) la profession d'empereur et czar, . . . a comparaitre á huitaine franche . . . a la première chambre du tribunal civil . . . etc.)



— **Dr. X. Liske** we Lwowie. Za przesłane książki składamy najszczersze dzięki. Dotąd wszakże ani pierwszy ani drugi nas nie doszedł.

— **Dr. L. K.** w Poznaniu. Odebraliśmy list i piękny przekład, z którego zdamy sprawę. Podziękowanie.

— **PP. R. — i — P.** z pod Miłosławia —

Choćbyśmy najserdeczniej pragnęli zadość uczynić życzeniu panów, umieszczając list Ich w Tygodniu, dziennikarski obyczaj. bardzo z resztą słuszny, nie dopuszcza tak pochlebnego dla nas, u siebie drukować sprawozdania. Tém bardziej nam żal, iż ono mieści razem uznanie zasługi artystów, dla których i autor czuje prawdziwą wdzięczność. Dramat „Równy Wojewodzie" na scenie lwowskiej a podobno i krakowskiej odegrany, w cale tam nie pozyskał powodzenia. Czemu to przypisać, nie wiemy, ale doznany zawód był nam bolesny. Dopiero staranna gra Towarzystwa poznańskiego podniosła go i opłaciła nam zawód doznany stokrotnie.

Oto już blisko lat czterdzieści wytrwałej wprawdzie ale nie zbyt szczęśliwej pracy literackiej mamy za sobą. — Przebyliśmy na tej drodze ciernistej więcej niż się wypowiedzieć daje kolei różnych, w których przemagały wrażenia mogące zrazić i zrodzić zwątpienie; doznaliśmy też nieraz i pociechy serdecznej — przyszły osobiste cierpienia, tułactwo, a razem z niemi niechęci i potwarze złośliwe tych, którym niemieliśmy szczęścia się podobać. Życie strute idzie ku końcowi, mniej niż kiedykolwiek licząc dni jasnych. Taki list jak Wasz, Szanowni Panowie, choć już najbardziej zrezygnowanego na wszystko podnosi i dzwiga jeszcze współczuciem.

Bóg Wam zapłać za doznaną chwilę pociechy, — z serca, Bóg zapłać. Głos taki jeden dodaje siły straconej, krzepi, i wpaja znów wiarę w to, że się nie darmo żyło i trudziło. Przyjmijcie wyrazy szczérej wdzięczności. Jest ona tém większą, że na ostatnie dni przypadło więcej twardych chwil, niż na owe czasy, gdy znieść je łatwiej bywało.

Nie mogąc wydrukować listu Waszego, łączymy się w podzięce z Wami artystom pp. Kalicińskiemu, Aszpergerowej, Nowakowskim obojgu i całemu Towarzystwu poznańskiemu.

Dramat ten Równy Wojewodzie, długo nosiliśmy w myśli. nim się nam wreście rozwinął tak jak go widzicie. W r. 1866 w podróży do Krakowa, odcięci wojną od zwykłego miejsca pobytu, zmuszeni przesiedzieć burzę w Krynicy, w długie słotne dni rzuciliśmy na papier pierwsze zarysy później wykończone. Liczyliśmy tę pracę do nieudanych prób, póki talent artystów i współczucie publiczności nie podzwignęły jej i nie opłaciły sowicie za doznaną przykrość zawodu. Szczególniej pojęciu głównych ról p. Aszpergerowej i p. Kalicińskiego winniśmy miłą tę niespodziankę, za którą im dusznie jesteśmy obowiązani.

Ofiary dla ks. K. Sosnowskiego.

Z Belgij: ks. Fl. Jastrzębski b. wik. D. Płockiej	4	frank.
X.	10	—
Ks. N. N. z Bruxelli.	3	—
Z. Miłkowski	1	—
A. P.	5	—
Panna Margareta Gachet	2	—
L.	45	—
Polacy w Louvain	3	—
Razem	73	—
Poprzednio	41	—
Razem 20 Talarów. Złp. 25 (w złocie) i	114	frank.

Nr. 136. Dz. Pozn. przynosi nam list p. Chłapowskiego, usiłujący nadać uczynkowi miłosierdzia i współczucia charakter wcale mu niewłaściwy. Składka dla ks. Sosnowskiego nie jest żadną demonstracją przeciwko zakonowi Zmartwychwstańców. jest objawem spokojnego poszanowania ofiary i męczeństwa.

Dz Pozn. zapewne od nas będzie szczęśliwszym w prowadzeniu jej i dla tego my, nie chcąc stać na zawadze dziełu miłosierdzia, zbieranie jej zamkniemy Zebrany grosz odeszlemy ks. Sosnowskiemu, będzie to prawdziwie grosz wdowi — a jeli dla okazania oburzenia przeciw nam w Dzienniku składka urośnie, będziemy szczerze szczęśliwi.

(Dodatek.)

KOCHAJMY SIĘ.

OBRAZKI Z ŻYCIA WSPÓŁCZESNEGO

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Tak samo Stanisław, który się był pożegnał, nazajutrz poszedł na Via Appia... i błądził snując Elegje bez końca. Tak samo — Cesia uprosiła matki, by jeszcze zostali w Rzymie. Miała trochę nadziei, że Stanisław przyjdzie, że nie może nie uczuć, jak ona go kocha i że...

Fanny i matka udawały że nic nie rozumieją, a im pragnienie Cesi zdawało się mniej możliwém do urzeczywistnienia, tém skłonniejsze były do pobłażania.

Pani Eliza w pierwszej chwili została w Rzymie dla tego, iż Staś miał wyjechać, potém, rozmyśliwszy się, nie wyruszyła, bo się go już nie lękała. Była pewną że nie powróci i że się nie upomni o zadaną mu ranę.

Został i hr. Roman, bo nie miał co robić lepszego a nawykł trochę do kilku twarzy i rachował zawsze na pannę Celinę, gotując się deklamować dla niej Laprada, Musset'a... co by chciała, nawet Słowackiego, który mu się zdawał po prostu fiksatem.

Ukrainiec znalazłszy nareście partję do wista, był pewniejszy niż kiedykolwiek, że się doczeka chwili desperacji, w której Cesia przyjmie jego wystudzone zapały.

Hrabianka Dorota siedziała zawsze w Rzymie, a że teraz miała więcej do czynienia niż kiedykolwiek przy napływie rodaków; krzątała się niezmiernie, aby ich wciągnąć w swe koło i nawrócić na swą orthodoksją. — Pomimo żywego wstrętu, jaki miała do wielu osób, uwagi praktyczne ojca duchownego zniewoliły ją do niezrywania stosunków z nikim, do nadzoru nad wszystkiemi, do powolnego czatowania na godzinę łaski i natchnienie z niebios. Charakter jej wymagający nieustannej krzątaniny, zajęcia, szeptania, intrygowania, wybornie się zgadzał z misją, jaką wzięła na siebie...

Tak tedy gronko owe w chwili, gdy się już rozbić miało i ziarnami roztoczyć po świecie — choć nie zbyt spójnie zostało na zeschłej łodydze.

Ziarna te tylko poodsuwały się nieco od siebie.

Tatko długo myślał co zrobić z sobą, ale jemu trudniej było Rzym rzucić niż innym. Z tém słowem miłości na ustach, które wiekuiście powtarzał, nie znalazłby był kąta, gdzieby był cierpianym... W kraju śmiano by się zeń jak z monomana, tu był znośnym. tło Rzymu odpowiadało jego pielgrzymiej postaci.

Jedną tylko miał troskę, aby go, jak innych wielu, za brak orthodoksji, za pewną swobodę ducha i przekonań, mimo najgorętszej pobożności nie wygnano ze stolicy świata... w której nie wszystkim gościć wolno .. gdzie szczególniej nad ziomkami naszemi kontrola jest ostrzejsza... dla tego może, iż zbolałym najwięcej przytułku potrzeba. Winien był w istocie wiekowi, egzaltacji swej religijnej, przez którą zawsze do słabnącego starca wnijść się spodziewano i w nim rozgospodarować — że go tu cierpiano Nawet pana Dorota postrzegłszy, iż w ostatnich czasach osmutniał, zestarzał, pochylił się — zbliżyła się doń, sądząc, że może godzina nawrócenia wybiła....

Myliła się w tém, ale nie omyliła, dostrzegając symptomy zwątpienia i przeczucia mogilne.

Tylko czuł, że wkrótce... przyjdzie zamknąć rachunek wielki, dosyć burzliwego żywota.

W jednych z tych klasztorów rzymskich, stojących pustkami, przy opuszczonym kościółku ubogim, do którego mało kto kiedy zajrzał, Tatko dostał u przyjaciela szkolnego, księdza wygnanego z Polski niegdyś — przytułek we dwóch czy trzech pokojach, które sobie kazał wyporządzić.

Cały ten dosyć rozległy gmach, opuszczony od dawna, w części znacznej nie zamieszkały, był tylko łaską klimatu łagodnego, trzymającą się ruiną. Mieszkanie Tatka wybrane wśród niezajętych cel i sal opuszczonych, wyglądało porządniej niż inne, ale napiętnowane było oryginalnością tego, co je zajmował.

Okna wychodziły na mały placyk, w którego rogu świecił ów napis oznajmujący urzędowe śmietnisko:

Immondezaio.

Naprzeciw był długi mur z poza którego wyglądało trochę rozbujałych zarośli i kilka ścian domostw odrapanych. Ale w Rzymie najlichszy kątek, najbrudniejsza ściana ma w sobie coś malowniczego i artystycznego. Wśród nieforemnych brył, sterczy gzems przedziwnej roboty, lub złom kolumny kosztownej.

Tak i tu było... Z okna Tatka na pusty plac i mur i maleńką fontannę z sarkofagiem miasto żłobu na wodę, na drzewa ogrodu widok był smętny, ciasny, ale nie bez obrazkowego wdzięku... Po nad zielone gałęzie sterczała kopuła jednego z trzystu kościołów Rzymu... i wieżyczka kwadratowa płasko kryta.

Placyk był cichy... brudny trochę i przez ubogich zamieszkały... U Tatka prawie, jak na Rzym, było wygodnie. Drzwi zmuszono żeby się zamykały, okna by przystawały szczelnie, posadzkę ceglaną okrywało sukno, sprzęty były stare ale poodnawiane i wygodne. Mały pokoik, który służył za *immondezaio* gospodarskie, sypialnia z celi zrobiona i obszerny salonik niby, składały mieszkanie staruszka...

Ostatni szczególniej malował gospodarza... W oknach pełno było kwiatów, duże dwa stoły zalegały książki, na ścianach były wielkie sztychy i fotografje ze starych obrazów szkoły naiwnej pierwszych wieków kunsztu chrześciańskiego, kopje z Fra Angelico, Bellina, Luiniego, kompozycje Ary-Scheffera, Overbeck'a, Veita, Cornelius'a. Jedna ze ścian jakby oddzielona, poświęcona była polskim pamiątkom i twarzom ludzi, co w sobie nosili Polskę...

Na środku stał Kościuszko — wielkie serce ludzkie i polskie, które promienieje końcowi XVIII. wieku.

Któż nie zna imion naszych świętych, błogosławionych i uwielbionych — nie przez sam Kościół ale aklamacją wieków i pokoleń?

Tatko lubił muzykę, choć sam już stwardniałemi palcami nie grał, miał więc fortepianik dla odwiedzających. Zresztą zbytku żadnego, choć człowiek był możny, i wygody nawet zbytecznéj.

W środku jednego stołu, na podstawce, wystawiony był wielki, szklanny, szczególnego kształtu puhar pozłacany,... który jeździł wszędzie z Tatkiem, choć nigdy on nim nie pił, ani częstował. Czasem przy skromnej uczcie, przy polskiej wilij, w wiecznym grodzie dla ubogich Polaków wyprawianej, napełniano ten puhar winem prostém — jakiem Orvietto niewymyślném i symbolicznie obdzielali się nim wszyscy, pijąc z jednego na znak braterstwa. Na puharze tym z jednej strony było nie dwie ale sześć dłoni z sobą uściskiem związanych, składających rodzaj gwiazdy.... Z drugiej stał XVI. wieku głoskami napis nieforemny, a bodaj i nieortograficzny:

„Kochaymy sye.“

Właśnie ta pisownia stara nadawała wartość puharowi, z którego piły pokolenia....

Godło to w śmieszność obrócone — splugawione nieraz opilstwem — świeciło całemu życiu starca.

Ale kazał i propagował je wśród ogólnych śmiechów. — Nigdy ludzie mniej się nie kochają jak w niedoli.

Gdy okręt tonie, rozbudzają się egoizmy, rwą węzły najświętsze, cała bydlęcość człowieka wychodzi obrzydliwie na wierzch... jego natury.

Tak samo u nieszczęśliwych narodów rozterka jak chwast się krzewi na ruinie.... Każdy ratuje się samotnie, popychając w otchłań drugiego... brat wypiera się brata... brat

zabija brata. Nie jesteśmyż my dziś owemi Kaimami na małą skalę zabijającemi obojętnością, sarkazmem . . . potwarzą? . . .

Wśród takiego społeczeństwa krocząc Tatko z sokratycznem sercem i twarzą naprożno wołał o zgodę. — Śmiano się zeń i uciekano. . . .

Aż w końcu zamilkł, spuścił głowę . . . i nie mówił już prawie nic, powieki mu same płakać zaczęły.

Nie jestli to pełném znaczenia, że człowiek w starości płacze niechcąc, nawet gdy się śmieje?

Z modlitwą i książkami stary na jakiś czas się zamknął w domu. Było mu choro na duszy.

Żyć się odechciało, a choć nie porzucił wiary ani nadziei — o sobie zwątpił. Czuł się niepotrzebném, zapomnianém śmieciem.

— I mnie czas na *Immondezaio*.

Poszedł raz sam jeden i na tém smutném pustkowiu, koło Witwickiego naznaczył sobie ziemi kawałek. . . .

Wolałby był swoją własną . . . ale tak daleko jechać umierać? A każdy z nas nosi przecie garść polskiej ziemi na piersi, aby z nią umarł, czując ją nad sobą.

Z początku dowiadywał się do trojga swych pacijentów, jak ich nazywał, Beppa, Stasia i Cesi . . . ale potém jakoś zaczytał się, zadumał, zleniwiał i odkładając od dnia do dnia . . . zastrzegł w cichym swym klasztorze. Codzień przychodził doń ksiądz, przyjaciel szkolny, mówili z sobą godzinę po cichu, ściskali dłonie i jeden szedł pacierze odmawiać na górę, drugi czytał i modlił się na dole. Każdej godziny, gdy serce zapragnęło widzieć wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa i poklęknąć przed nim — mógł stary znijść korytarzem do kościoła, w którym lampa się paliła przed wielkim ołtarzem — i sam jeden rozmawiać z Bogiem w tym cichym, przyciemnionym kątku, w którym nigdy prawie żywej duszy nie było.

Tak płynęły resztki życia poświęconego apostołowaniu najczystszych zasad chrześcijańskich, wyśmiewanych przez jednych jako fanatyzm i pietyzm, przez innych jako herezija i marzenia.

Nie ma nic niebezpieczniejszego dla starych, zardzewiałych zégarów, jak gdy się raz z jakiejkolwiek przyczyny zatrzymają w biegu, — często potém na zawsze iść przestają. Tak się stało ze staruszkiem, który z życia czynnego do zbytku przeszedł w ten stan spoczynku, z którego wynijść nie umiał; zaskrzepła w nim krew, sen opanował mózg znużony, ciało prosiło o wytchnienie. Ksiądz Paweł, stary przyjaciel, który, mimo wieku, suwając nogami chodził jeszcze i krzątał się jako mógł, dziwił się Tatkowi, którego znajdował często nad książką zdrzémanym lub wdumanym w jakąś myśl niejasną.

Płomień wewnętrzny, który się palił w tej lampie, zdawał się gasnąć powoli. Przyjaciele z razu sądzili, niewidząc go nigdzie, że wyjechał, potém dowiedzieli się że od świata się usunął i pomyśleli że chory.

W niektórych z nich rozbudziła się chęć zobaczenia co się ze starym dzieje.

Przyszedł naprzód Beppo. . . .

Tatko odzyskał na chwilę dawną swą żywość, gdy go we drzwiach zobaczył, ale wpatrzywszy się weń osmutniał nagle. — Beppo był niepodobnym do siebie, miał oczy wpadłe głęboko, policzki ściągnięte, twarz bladą, trzymał się przygarbiony, kaszlał i machinalnie porywał się za piersi.

— Jak się masz, moje dziecko, jak się masz? czyś zdrów? dla czego nie jedziesz do Mnichowa? Choć tam także, mówią, powietrze nie zbyt zdrowe, zawsze lepsze dla ciebie niż tutejsze. . . .

— Nie mam po co jechać — odparł Beppo — począłem karton tutaj i tu go skończę, wzory mam, a w drodze mogłaby myśl wywietrzeć. — Do moich postaci bohaterskich — czyż natchnienia czerpanego z Michała Anioła nie dosyć? . . .

— Ale ty mi coś wyglądasz nie raźno, nie wesoło?

— Kaszlę trochę — przecież jestem zdrów, zupełnie zdrów — odparł Beppo i siadł odwracając rozmowę na inny przedmiot.

Zaczęli mówić o sztuce. — Starzec się ożywił nieco.

— Takbym chciał, rzekł — twój karton zobaczyć, ale powietrze słotne a ja stary i bodaj czym chodzić nie zapomniał.

Westchnął. . . .

— Nadejdzie przecie wiosna, to się człowiek jak trawa odmłodzi. . . .

Beppo siedział długo i zasmucił starego kaszlem, od którego się ratował cygarami. — Tatko radził doktora — ale Czarny ruszył ramionami tylko.

— Cóż się dzieje z panną Celiną? z temi paniami?

— Doprawdy, nie wiem — rzekł sucho malarz.

Było to wstydliwe kłamstwo, wiedział dobrze, iż panna Celina goniła Stasia, który miał jakby rodzaj melancholij łagodnej — i codzień nowy poemat zaczynał, niemogąc żadnego dokonać. — Mówił on z nią chętnie, ale nigdy oczów nie podniósł, w zrenice jej nie spojrzał — zdawał się wiekuiście roztargniony. Czasami źli ludzie nieumiejący dogonić myśli jego, posądzali ją o poplątanie jakieś dziwaczne. . . .

W kilka dni po odwiedzinach Beppa zjawił się pan Stanisław. I w nim znalazł stary wielką zmianę.

Była to taż sama śliczna twarz, modelu greckiego, ale jakby uśpiona i martwa . . . igrała na niej przymuszona wesołość, lub zaciągał ją smutek niezrozumiały. . . . Bez przyczyny żadnej wybuchał śmiechem i zamyślał się kamiennie, przybierając dziwne pozy posągowe.

— Jakto? jesteś tu panie Stanisławie! — spytał podając mu obie ręce stary — i nie wyjechałeś jeszcze . . . ?

— Ale po co? po co? pytam się, — zaczął Staś z uśmiechem. — Wyjechałem z tego zaczarowanego koła, w którém długo kręciłem się obałamucony, to dosyć. — Pracuję, piszę, dumam . . . dobrze mi tu — przyrosłem. . . . Jeździłem tylko do Neapolu, aby przeczytać list Plinjusza, patrząc na Wezuwa starego.

Wierz, ojcze, ta podminowana ogniami podziemnemi okolica, przez której szczeliny piekielne czuć swędy, te ruiny trzęsące się na bagnach siarczystych, te podtopione świątynie, te powyrastałe góry, te śliczności zielone na popiołach, ta Pompeja wydobyta z trumny . . . te sto chlebów skamieniałych w piecu przed dwoma lat tysiącami. . . .

Urwał nagle poeta.

— Bulwer zrobił z tego świętokradzką litografią kolorowaną — dodał. . . .

Z Neapolu wróciłem do Rzymu — Rzym się tak nie śmieje ustami brudnych lazzaronów, rzymskie bandy to to jeszcze Romulusowy potomek. Tu mi lepiej.

— Ale cóż robisz z sobą? rzekł stary. . . .

— Widzicie — słyszycie i nie chcecie mnie zrozumieć, piszę poemat. . . . Czy to będzie Pompeja. . . . Szaweł, Katakomby . . . Juljan apostata czy Marek Aureli — nie wiem? Zacząłem dwa dramata. . . .

— Ale nic nie kończysz?

— Schiller tak pisał swoje — po kawałku . . . częściami, i ja tak piszę. . . .

— Nie tęskno ci do kraju?

Staś zadrżał.

— Cicho! cicho! nie wspominajcie o nim, nie wspominajcie. — Usiłuję zapomnieć o nim; czasem mi się we snach jawi moje Mazowsze kochane . . . ale kiedyś tam powrócę . . . teraz nie mogę. Kozacy nie dali by nieśmiertelnego dokończyć poematu . . . a poemat, samiście to mówili — obowiązek mój, dług? nie prawdaż? . . .

Chrobry byłby śliczny . . . mam go całym w głowie, ale koloryt? . . . Śmiały byłby cudowny — ale Ś. Stanisław! niepodobna. . . . Łokietek? nie? Jan III. . . . ?

— Co chcesz, — przerwał groźno stary, ale jedno nie dziesięć. . . .

— Wy mnie nie rozumiecie, zawołał Stanisław — w każdej pracy jest wysoki próg, idzie się do progu lekko, tu trudność . . . gdy się go przestąpi, reszta jak z płatka. . . . Progu tego nie mogę przestąpić.

— Trzeba przeskoczyć!

— Siadam na nim i płaczę!

— Gdzież bywasz? . . .

— W Katakombach bardzo często.

— A u żywych?

— Tamci są żywi, nie znajdujecie że myśmy umarli?

— Widujesz kogo?

— Duchy męczenników w Kolizeum — w czasie piątkowej litanij siadają rzędem we wgłębieniach ogromnego amfiteatru, na kamieniach, na gzemsach... na gałęziach bluszczu i oliw dzikich... jedni w purpurowych szatach, drudzy nadzy... kobiety wstydliwie okryte długiemi do stóp włosami, mężowie ze skrwawionemi boki, z palmami w rękach... siedzą, składają ręce i odmawiają litanije z nami.

Tatko się uśmiechnął.

Staś począł nucić, zobaczył fortepianik otwarty, poszedł do niego i siadł. Patrzał na klawisze jakby wprzód chciał je sobie przypominać, potém zagrał tęskną piosenkę jakąś i zakończył ją bujnym krakowiakiem.... Ale pospieszał jego tempo tak prędko, prędko, coraz żywiej, gwałtowniej pędząc, że w końcu rąk nie starczyło i wstał zarumieniony śmiejąc się....

Staruszek patrzał niespokojny.

— E! co bo ty wyrabiasz! odezwał się.... Duszo targana przez demona poezij — spokoju! spokoju!...

— Nie! nie! życie musi być gorączką! odpoczniemy w trumnie....

To mówiąc zakręcił się — powąchał kwiatków w oknie stojących, pocałował starego w ramię i chciał odejść.

— Mój Stasiczku — na Boga miłego — nie rwij się tak... Napisz z tych dwudziestu poematów choć jednego pieśń całą i przynieś mi....

Staś począł szukać po kieszeniach.

— Czekaj, rzekł — mam czéry wiersze Chrobrego... czekaj.... Pieśń pierwsza, stary król u grobu świętego Wojciecha rozmawia z jego duchem.... Ale nie — przepraszam, podarłem... a teraz muszę pożegnać, bo mi pilno... nader pilno, mam myśl... nie mogę powiedzieć... żegnam.

I wybiegł.

Po wyjściu jego Tatko siedział godzinę w krześle rozmarzony... niemogąc przyjść do siebie.

Zdało się, że tych dwu rozpoczęło procesję do klasztoru, tak teraz goście szli jeden po drugim.

Nadzwyczajném zdziwieniem dla Tatka były odwiedziny hrabianki Doroty. Dowiedziawszy się o słabości, którą rozgłoszono w mieście, spieszyła ona z najlepszą intencją skorzystania z niej dla zbawienia duszy nieboraka; pragnąc go nawrócić *in articulo mortis*.

Gdy weszła blada, a stary postrzegł ją na progu, przeląkł się jej prawie. — Usta miała zesznurowane, książkę i różaniec w ręku.... Zawahała się nieco w progu....

— Wszakże nie będę natrętną? spytała głosem słodziuchnym.... Słyszeliśmy, że pan nie wychodzisz z domu, że jesteś chory?... Czemuż rady lekarza nie wezwiesz?...

— Pani dobrodziejko, odezwał się wesoło stary. są choroby, na które lekarze pomódz nie mogą... taką jest moja. — Noszę na ramionach i wiele lat i wiele strat... i wiele mogił a nieboszczyków.... W ostatnich dniach na ręce wziąłem skrwawione nanowo ciało Polski... i dźwignąć dłużej... trudno mi.

— A! któżby Polski nie kochał — szepnęła hrabianka — ale wyrokom Bożym sprzeciwiać się... niepodobna. — Grzechy nasze tak były wielkie... zapomnieliśmy o wierze ojców, ztąd wszystko złe.... Dziś naszą ojczyzną — Rzym....

— Nie — pani — nie — żywo sprzeciwił się stary — myśmy o wierze ojców nie zapomnieli — ale nam w na chwile ostygłą tradycją tej wiary, wlać dziś chcą to, czego w niej nie było. — Rzym jest kolebką nowej ery, ale ojczyzna nasza gdzieindziej.

— A! gdybyś pan, co zachowałeś tak żywe religijne uczucie — przerwała hrabianka — chciał się zbliżyć tylko do ludzi świętych, jakich my tu mamy... jakąby to dla pana mogłoby być pociechą, osłodą....

— Ja nikogo nie unikam, rzekł Tatko.

— W wielu wątpliwościach człowiek potrzebuje słowa kapłana....

— A! ja tu właśnie mieszkam w klasztorze i mam mojego starego ojca Pawła codziennie.

— Tak! O. Paweł jest człowiek bardzo zacny — ale... ale, mówią...

— Czy mówią co o nim?..

— Ja o tém sądzić nie mogę, ale utrzymują że... że niedosyć jest ścisłej orthodoksij. Już samo to, że z naszemi czcigodnymi kapłanami nie jest w harmonij — ma pewne znaczenie.

Tatko przez grzeczność zamilkł.

Hrabianka spróbowała jeszcze parę razy wrócić do tego samego przedmiotu, ale naprożno — staruszek mówił o czém inném.

Naostatek hrabina też z córkami zaszła odwiedzić także pustelnika. — Rozweseliły go te niewieście twarze i szczebiotanie, wpadł w humor wyborny — usiłował rozweselić Cesię, która była smutną. Stało się jakimś wypadkiem, że na tę samą chwilę wbiegł z bukietem fijołków zebranych w gaju Numy pan Stanisław.... Towarzystwo rozsiadło się w saloniku starego w najlepsze... poeta był w humorze wybornym, ale roztargniony jak nigdy.... Ledwie przywitawszy starego położył przed nim fijołki i pobiegł do panny Cecylij.

— Ale słuchajże, niegrzeczny jakiś roztrzepańcze — rzekł Tatko, obdarzasz mnie jak kobietę bukietem, oddaj go komu innemu — jednej z pań....

— A! tak! pań jest trzy a bukiet jeden — rozśmiał się Staś — chyba na losy.

— Ja nie lubię fijołków — odezwała się żywo hrabina, Fanny także....

Staś wziął bukiet i oddał go Cesi, która się zarumieniła przyjmując.

— Proszę pani — rzekł — dla czego ja pani nie widziałem od tak dawna?

— Ja nie wiem — szepnęła Celina — mogłabym to pytanie zwrócić do pana właśnie?

— Jabym odpowiedzieć nie umiał — rzekł uśmiechając się poeta. — Wie pani — są takie chwile w życiu, że się człowiek jak wahadło od zégara porusza machinalnie po jednej drodze, znijść z niej nie mogąc.... Otóż ja tak chodzę po Forum, do Kolizeum, na Via Appia i wracam jeszcze i znowu i wyjść ztąd nie umiem.

— A drogi do nas pan zapomniałeś?

— Nie nauczyłem się jej — tak! westchnął Stanisław — muszę się nauczyć. Ale cóż? potém jak zacznę chodzić tą drogą....

— Zawsze nam pan będziesz miłym gościem....

— Pani jesteś do zbytku dobrą — ale ja jestem do zbytku nudny — zameczałbym panie memi niedorzecznościami....

Cesia spojrzała nań, miał oczy podniesione do sufitu i już coś szeptał pocichu sam do siebie, jakby w ekstazie — czy z poematu o Chrobrym, czy o Katakombach? niewiadomo. — Kobiety popatrzały na siebie... Tatko westchnął

— Roztargniony.

Staś siadł wkrótce potém przy pannie Celinie i zaczął jej coś prawić pół wierszem, pół prozą, był niezmiernie wesół, a gdy te panie pożegnawszy się wychodzić miały, zerwał się, aby je odprowadzić do domu.

W pół drogi jednak przeprosiwszy pobiegł do Kolizeum.

Jednego dnia stary chciał zrana wstać z łóżka i poczuł że nogami nie władnął — usiłował je dźwignąć, poruszały się z ciężkością — z uśmiechem położył się nazad. Wiedział co to znaczy gdy Polak na nogi cierpi, bo stare mówi przysłowie że śmierć inaczej jak za nie pochwycić go nie może.

Z kraju jeszcze przywiózł z sobą sługę, do którego był zarówno jak on do pana przywykły; zwano go skróconym sposobem Fafciem, chociaż to był wcale już niemłody pan Rafał — człek na wzór swojego mistrza a dobrodzieja poważny i moralista wielki. Towarzyszył on wszędzie i zawsze Tatkowi, znał sposób jego życia, nawyknienia, humor, gusta, a choć po włosku nie umiał, z pomocą wyrazistej mimiki i kilku wyrazów dawał sobie radę w Rzymie. Fafico powolny, łagodny, zamyślony, pobożny, był najlepszą w świecie istotą, a za pana swego życie by dał. — Rozumieli się oba skinieniem... oczyma.

Stary niemogąc wstać zadzwonił, i wkrótce po danym znaku Fafcio z karafką wody i szklanką na tacy wtoczył się

do pokoju i do łóżka przybliżył. Zdziwił się wszakże, bo zwykle dzwonek mu oznajmywał, że Tatko był na nogach i po modlitwie, a ujrzał go leżącym w łóżku.

— A cóż to pan nie wstaje? — zapytał zbliżając się.

— Jak widzisz, mój Fafciu — nie mogę. — Pójdź ino poproś O. Pawła, bo mam z nim do pomówienia . . . jeśli jeszcze na mszą świętą nie poszedł.

— Ale proszę jegomości, cóż to jest?

— No nic, nogi słabe a ja stary, poproś O. Pawła.

— Może by spirytusem wysmarować?

Tatko się uśmiechnął — poproś, rzekł, starego, a otém potém.

Fafcio strwożony wyszedł pospiesznie, a w chwilę potém O. Paweł stał u łoża przyjaciela, który z twarzą uśmiechniętą rękę ku niemu wyciągał.

— A toż co, że do tej pory w łóżku? zapytał.

— Cicho! wiesz asindziej że mi nogi pobrzękły, stężały i nie mogę wstać. — Nóg jak nie mam — źle jest — znak niedobry, ale prędzej później trzeba pójść *ad patres!*

— No, no! już *ad patres!* imaginacja . . . nogi wypoczną i wstaniesz . . . rzekł O. Paweł.

— Wstanę ale nie na długo — westchnął Tatko — czas mi! czas! tęskno już od dawna, aby się strudzone oczy zamknęły. Lękam się bym, dłużej patrząc na świat, nie zaczął wątpić i nie osłabł na duchu. — Smutno tylko mój ojcze, pomyśleć kto mnie tu zastąpi i apostołować będzie miłość a zgodę, przywiązanie braterskie — jednoczenie się w imie ojczyzny! i kto zechce narażać się na urągowisko dla poczciwej myśli.

— Ale ba! ozwał się O. Paweł — już jegomości w głowie nie wiedzieć co! Wyzdrowiejesz i będziesz sam po staremu gawędził, a ludzie po staremu cię słuchać nie zechcą. Cóż tam te nogi? wczoraj były jeszcze zdrowe.

— No tak — to prawda, rzekł stary, a dziś leżą jak drewniane kłody, ani ruszyć. — Bolu w nich nie czuję ale nie czuję i siły.

— Poślemy po doktora. . . .

— Daj ty mi pokój! krew puści i po wszystkiemu. . . . Ja co innego myślę.

— Cóż? chcesz się z Bogiem przejednać?

— O duszę jestem spokojny, spowiedź odbędę i oczyszczę się skruchą, o to się nie lękaj . . . ale mi chodzi po głowie testament.

— Sameś mi mówił przecież, że go spisałeś?

— Tak, mój testament osobisty leży dawno opieczętowany . . . żywém jednak słowem chciałbym ducha mojego testament wypowiedzieć . .

— Co? cóż to takiego? — zapytał O. Paweł siadając i zażywając tabaki — nie rozumiem. . . .

Fafcio słuchający we drzwiach, bo go niewypędzano, ruszył ramionami, Tatko się podniósł na łokciu.

— Mój ojcze . . . toć przecież wiesz do syta, żem się nosił z myślami, które chciałbym ludziom przekazać w spuściźnie. . . . Nie bez tego, żebyś też jegomość nie czytał o śmierci Sokratesowej. . . Śliczny to był zaprawdę zgon, Seneka mu go pozazdrościł i nie doszedł do tego . . . W gronie przyjaciół, uczniów, spokojnie, z umysłu swobodą i przytomnością — umierać tak, to godne pięknego życia i wielkiego człowieka. Na nieszczęście nie jestem ani Sokratesem, ani wielkim człowiekiem . . . więc — przyznać ci się, księżuniu? zdawna sobie obmyślałem, gdy się poczuję źle, zebrać znajomych a braci i pożegnać ich przy uczcie po polsku.

— Ale co za bzdurstwo! ofuknął się O. Paweł — zmiłujże się jegomość . . tu! w Rzymie! po pogańsku tak . . . ucztować *in articulo mortis* (choć ja nie wierzę w śmierć) — zakrzyczą żeś heretyk . . . i na cmentarzu pochować cię nawet nie zechcą. . . . Co za uczta! po co? na co?

— Nie gderaj stary! — nie rozumiesz mnie . . . no to powiem ci inaczej. Trochę mnie nogi bolą, nudzę się, któż mi zabroni dziś czy jutro zaprosić przyjaciół i znajomych na wieczerzę, ugościć ich, pogawędzić, pośmiać się i sprawić sobie *incognito* stypę Sokratyczną.

— Fiksacja! fiksacja! bałamuctwa, bałamuctwa się jegomości trzymają, całe życie — rzekł O. Paweł. — Stypa za życia! Sokrates! licho wie co! ot byś nogi opodeldokiem wysmarował i nie bredził.

— Opodeldok swoją drogą a podwieczorek swoją — rzekł Tatko. — Co ci to szkodzi ojcze, że ja im podwieczorek sprawię — jutro? hę? Muszę się przecie ze znajomemi i ziomkami pożegnać, bo może . . . wyjadę.

O. Paweł popatrzał nań, był rubaszny z Tatkiem, ale się kochali serdecznie.

— Wszak ja jegomości nie bronię dać jeść i pić za woje pieniądze — ale po co to? po co?

Tak się rozmówiwszy z O. Pawłem, który poszedł dokończyć brewjarza, staruszek przywołał Fafcia, dał mu instrukcje i kazał nazajutrz prosić do siebie na wieczerzę — czyli jak wymowny Rafał wyrażał się — na wieczorne gody.

Właśnie od kilku dni zjawił się był w Rzmie znowu, powracający z Neapolu Pułkownik; a oprócz niego wszyscy niemal byli znajomi, hr. Roman, Ukrainiec i kupka nowo przybyłych. — Tego samego dnia popołudniu, Tatko, dla nieuchronnych przygotowań, usłuchawszy rady O. Pawła, wysmarowawszy się opodeldokiem, probował wstać z łóżka — ale nogi odmówiły stanowczo posługi.

Nazajutrz jednak z pomocą krzepkiej woli i uporu, pocichu mówił Fafcio, Tatko wstał, choć z wysiłkiem wielkim i z sypialni przeniósł się na sofę do saloniku. Fafcio przystawił stołeczek i poduszkę pod nogi. Salonik przystrojono w nowe kwiaty, a O. Paweł, mimo niezupełnej zgody na program wieczorny, oddał na ten cel przytykającą opuszczoną od dawna salkę, którą na jadalnię obrócono. — Zatęchła była wprawdzie i zapylona, ale Fafcio z pomocą dwóch starych Włoszek najętych na ten dzień, potrafił ją naprędce wywietrzyć, umieść i ogrzać. — Otwory, przez które wiało, pozatykano starannie, krzeseł pożyczono u O. Pawła i gdziekolwiek się znalazły; bodaj nawet czy z kruchty nie wyniesiono jednej ławki pocichu, tak żeby Pan Bóg, którego była własnością — nic o tém nie wiedział.

Tatko gdy przyjmował to po polsku a nieżałując, od serca. — Najtrudniej było z tą salą, resztę zamówiono w najlepszej restauracji i wieczerza, jak na Rzym, obiecywała być wykwintną.

Poszczęściło się i z tém, że wieczór pogodny był i ciepły, niebo okryte gwiazdami, księżyc w pierwszej kwadrze, powietrze łagodne. . . . O mroku pierwsi się goście ściągać zaczęli. — Stary przyjmował ich siedząc na sofie, ale mimo bolących nóg, z twarzą wesołością odmłodzoną. — Ponieważ wieści o jego zdrowiu krążyły różne, przybywający ciekawie wpatrywali się w oblicze i dopytywali o nogi . . . ale Tatko śmiał się upominając ich, że to przechodzący reumatyzm. O. Paweł zszedł ze swej celi dla pomocy przyjacielowi i humorem swym a rzeźkością słowa przyczyniał się do rozweselenia towarzystwa.

Z kolei znajomi i nieznani zjawiali się we drzwiach, gwar co raz weselszy zaczął salonik napełniać. Każdy przychodził dłoń starego uścisnąć, dla każdego znalazł on słowo miłe, uśmiech uprzejmy i w pamięci coś, co jego lub rodzinę obchodziło. Dawniej tak wszyscy, kraj cały i stosunki znali a mieli w pamięci.

Między innemi przyszedł i Staś z wiązanką zieloności i kwiatów wczesnych, które na przechadzce uzbierał, ale z twarzą zasępioną . . . potém Beppo blady i kaszlący, chociaż kaszel swój i ból piersi zataić usiłował. — Wszyscy oni wszakże powoli w tej atmosferze ciepłej, weselszej, ochoczej, ogrzewali się jedni od drugich i uśmiechy na smętnych wykwitały ustach. — Możnaż było pozostać posępnym, patrząc na tego starca, który pogodę i pokój ducha wśród cierpień, złamany wiekiem zachował? . . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Józef Ign. Kraszewski** w Dreznie. — Nakładem i drukiem **J. I. Kraszewskiego** w Dreznie.